

WIEZJA
PRO
ESLJE
KRONIKA

ZAPIS


Nr 4 październik
1977

ZESZYT I

numer
przygotowali

JERZY	ANDRZEJEWSKI
STANISŁAW	BARANCAK
KAZIMIERZ	BRANDYS
ANDRZEJ	BRANICZ
ADAM	KICHIK
MAREK	HOWAKOWSKI
KAZIMIERZ	ORŁOS
BARBARA	TORUNOZYK
WIKTOR	WOROSZYLSKI
ADAM	ZAGAJEWSKI

NIEZALEŻNA
OFICyna
WYDAWNICZA



ZESZYT I

Zbigniew Herbert

HERALDYCZNE ROZWAŻANIA PANA COGITO

Przedtem być może - orzeł
na wielkim polu czerwonym
i surma wiatru

torcy
ze słomy
z bełkotu
z piasku

jeszcze bez twarzy
z łasklepicowymi oczami
szczęście

ani żółć nienawiści
ani purpura słowa
ani zieleni nadziei

pusta

przez
małych
mała
swierszowy

spuje się
ślimak

na plecach
dem, wój niesie
ciemny
niepowny

Kornel Filipowicz

NOC NAD WODĄ

Wyspa oddzielona jest od dalekiego i niewidoczno go teraz lądu pasem gęstych zarośli wiklinowych i bagnistymi odłowiskami rzeki. Mały, zjedzony do pozowy przez czarne niebo księżyc kończy wędrówkę po niebie i zniża się ku zachodowi. Księżyc niedługo zniknie za horyzontem posrebrzając korony drzew i wydobywając na chwilę z ciemności kształt wyspy i zarysy długiej, podobnej do kosy płaszczystej mierzei. Potem zapadnie noc, pełna drobnych i bardzo dalekich gwiazd.

Mierzeja odległa jest od biwaku o dobre dwieście metrów, na jej najdalszym cyplu tkwią wędziska. Wędziska należą do trzech mężczyzn, którzy zajmują się łowieniem ryb, czynnością w istocie niedorzeczną, ale mężczyźni traktują ją na serio, a dzieci nawet bardzo poważnie. Mężczyźni stoją teraz koło ogniska i rozmawiają. Przy ognisku są także kobiety, z namiotów wyglądają dzieci, które nie chcą jeszcze spać. Leżą na kocach, głowy podparły rękami i patrzą. Woląby, żeby ich starzy zamiast gadać śpiewali, jak to często robią. Ale starzy wolą gadać, o byle czym, żeby to jeszcze o rybach albo o samolotach, ale przoważnie rozmawiają o książkach albo o polityce. Dzisiaj na przykład ktoś z starszych powie -
dział, że tu, gdzie teraz są, jest bardzo dobrze, pusto i eicho, bo najbliżsi ludzie mieszkają stąd o pięć kilometrów, i miał rację, ale ktoś inny zauważył / i to już było głupio i niezrozumiałe /, że najbliżsi ludzie żyją o pięćset miliardów kilometrów, a i to na pewno nie wiadomo, więc strach pomyśleć, jak bardzo jesteśmy na tej wyspie biedni, samotni, opuszczeni.

Ognisko pali się jasnym płomieniem i oświetla spory krąg ziemi, rzuca także blask na namioty, ale o metr dalej panuje już mrok, a jeszcze dalej, zwłaszcza w stronę zarośli, stoi czarna, gęsta noc. Dzieci boją się trochę ciemności, ale czują się bezpieczne, gdyż ognisko płonie, rozjaśnia noc i trzyma strachy w przyzwoitej odległości od namiotów. Zrosz-

3
tą niedaleko, przy ognisku, są ich rodzice.

Dzieci słyszały wszystko, co mówili starsi - trudno było nie słyszeć, bo starsi gadali głośno, czasem nawet krzyczeli, aż echo się niesło z drugiego brzołu. Rozmowa zamieniała się często w kłótnię, nie było to jednak przykre, gdyż głupstwa, które wygadywali starsi, nie dotyczyły ich, dzieci. W ogóle dzieci uważały, że kłótnie rterszych nie były kłótniami naprawdę, tylko zabawą, bo przecież na drugi dzień rano wszyscy jedli spokojnie śniadanie ze wspólnego kotła, a po paru dniach zwiłali namioty, pakowali manatki do kordzi - i płynęło się dalej. W czasie, gdy starsi rozmawiali, krzyczeli, a nawet kłócili się - one - dzieci, słyszały równocześnie bardzo wyraźnie różne inne głosy: pluskanie się ryb, krzyki nocnych ptaków, a nawet szeportanie myszy pod podłogą namiotu. Teraz ognisko, właśnie trochę przygaskło więc jeden z mężczyzn, wysoki o lyszej czaszce, wyjął ręce z kieszeni, schylił się, złamał na kolanie patyk i wrzucił go do ogniska. Potem wyprostował się, włożył znów ręce do kieszeni i powiedział:

Jeśli proponujecie odrzucenie klasycznej definicji, to, prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co to znaczy być Polakiem, Niemcem, Rosjaninem, Żydom.

Nie wiesz? To ja ci powiem: być Polakiem, Niemcem, Rosjaninem, tak dalej, to znaczy: odczuwać znaczenie siły, krzywdy, doznanej, niż te, które się samemu wyrządza. Inaczej mówiąc: zbrodnie, które się samemu popełniło, nie są zbrodniami, lub przynajmniej nie wydają się tak karygodne jak te, których się dopęścili wobec nas inni. Śmieienie ludzką jest stronniczość. - powiedział drugi mężczyzna, chudy blondyn, który klęczał na ziemi i gotował na skraju ogniska kawę w naczyniu z długą rączką. Kawa kipiała niedobrze, bokiem, mężczyzna podniósł się więc z klęczek i przeszedł na drugą stronę ogniska. Kupaż, rozgrzebał patykami zarządze się, węgle i postawił na nich naczynie.

Ty zawsze byłeś trochę racjonalistą - powiedział zaczeplnie trzęsący głębiem brunet. Był jeszcze podminowany, brzoła, rozmowa, która toczyła się między nimi.

- Mylisz się, nigdy nie byłem ani trochę nacjonalistą. W czasach, kiedy poznaliśmy się, byłem pięknym okazem socjalisty, lub jak wolisz komunisty, internacjonalisty. Byłem czysty jak woda źródłana, przejrzysty jak szkło. Ale mój piękny profil ideowy zepsuli dwaj faceci, z którymi miałem później do czynienia - powiedział ten, który gotował kawę.

- Ciekawe, któż to był taki? - spytał brunet niepewnie, gdyż czuł jakiś podstęp.

- Hitler i Stalin...

Dzieci usłyszały wielki wybuch śmiechu przy ognisku. Roześmiał się nawet brunet. Ten, który robił kawę, nie śmiał się, bo nie wypadało śmiać się z tego, co się samemu powiedziało. - Dzieci! - krzyknął - przynieście kubki na kawę!

Dzieci zabrały się z wielkim pośpiechem i gorliwością do szukania kubków, była to bowiem okazja do opuszczenia namiotów, przelecenia się boso po rosie i siedzenia chwilę przy ognisku.

- Tych dwóch facetów dało nam dobrą szkołę - powiedziała jedna z kobiet, brunetka. Była żoną mężczyzny, który robił kawę. Od dwóch tygodni płynęli wszyscy rzeką, zakładali biwaki, łowili ryby, palili ogniska, gotowali kawę i smażyli rybę - i kłócili się ze sobą, a ich kłótnię z powodu nadmiaru powietrza, wody, słońca i wysiłku fizycznego miewały często charakter brutalny i pierwotny. Tak się złożyło /nie było w tym nic dziwnego; gdyż działało się to przecież w Polsce/, że mężczyzna, który robił właśnie kawę, siedział w niemieckich kadetach, jego przyjaciel, ten z łysą czaszką, kiblował ładnie parę lat w Workucie, a drugi, brunet miał nieszczęście należeć do narodu, który skazany był w całości na śmierć, a on sam, w roku 1943, wygrzebał się spod kupy trupów. Dziesięcioletni syn tego, który siedział w niemieckich obozach chwalił się kiedyś przed córką tego z Workuty, że jego ojciec ma jeszcze na nogach blizny po biciu na gestapo. Córka tego z Workuty powiedziała wtedy, że jej ojciec też mówił, że ma blizny, ale ich nie widać. Jak to nie widać? Nie widać, bo te blizny są w środku, na sercu. Syn więźnia niemieckich obozów przypatrywał się potem uważnie temu z Workuty, ale rzeczywiście niczego nie zobaczył, bo w miejscu, gdzie człowiek ma

Była to prawda tak oczywista, że nie zasługiwała nawet na to, aby ją wypowiadać, ale dzięki słowu, które zostało użyte, okazało się że dzieci nie poszły jeszcze spać, ale przyczały się przy ognisku, za plecami starszych. Teraz, na dźwięk tego słowa, zdrzażyły swoją obecność hałaśliwym śmiechem.

- Co, wy jeszcze tutaj? Jazda do namiotów, pod koce, i spać! Dzieci wykonały rozkaz dosyć posłusznie ale tylko połowicznie: poszły do namiotu, wlażyły pod koce, ale obróciły się głowami w stronę ogniska i nie przestały patrzeć i słuchać. Prawdę mówiąc dzieci nie interesowały się tym, co było dawniej, i nie bardzo obchodziło ich to, co będzie potem. Żyły tym, co jest blisko i co jest teraz: ogniskiem, wodą, drzewami, kamieniami.

Ten, który gotował i dzielił kawę, powiedział nagle coś, co nie miało ścisłego związku z tym, o czym była poprzednio mowa:

- Po ostatniej wojnie okazało się, że człowiek jest istotą śmiertelną.

- Zawsze był śmiertelny - powiedział ten, który w 1943 roku wygrzebał się spod kupy trupów.

- Teraz okazał się bardziej śmiertelny, niż kiedykolwiek przed tym, i stad tyle nowych kłopotów. Moralnych, światopoglądowych, a nawet politycznych.

- Sartre; Sartre - powiedział więzień Workuty.

- Sartre niczego nie wymyślił, tylko wyraził to, co było akurat na czasie.

Starzy przy ognisku zamilkli, pili kawę i palili papierosy. Kawa była gęsta, mocna, i jej pierwszy łyk, zamiast podniecić, spowodował jakieś skrępowanie wewnętrzne. Niestety kawy było bardzo mało, może trzy łyki.

- Aleś zrobił kawę - no! Gwardziejską! - powiedział więzień Workuty. Wstał od ogniska i poszedł nad rzekę umyć kubek. Wrócił po chwili i oznajmił, że woda jest bardzo ciepła, a na płyciźnie żeruje drobnica, i że wędziska stoją spokojnie. Kleknął przy ognisku, włożył w ogień kawałek patyka, poczekał aż się zajmie i przyglądał się chwilę płomykowi pełgającym na końcu drewna. Potem, kiedy ogień zgasł, odpalił od żaru papierosa. Patyk wrzucił do ogniska. Powiedział:

- A w ogóle, to jeszcze parę lat - i pójdziemy na złom. Całe nasze pokolenie już psu na buty. Żyliśmy sprawami, których już nikt nie rozumie teraz. Jak sobie pomyśleć, czym zajmowałem się czterdzieści lat temu, to sam sobie wydaję się kiepskim wariatem.

- No tak. Robiliśny bardzo dziwne rzeczy, między innymi na przykład faszyzm - powiedział więzień niemieckich obozów.

- My robiliśny faszyzm? Jak tak mówisz, to chyba ty go robiłeś! - powiedział brunet.

- Bo ja wiem? Raczej nie. Nawet starałem się go zwalczać. Ale mój instykt moralny, jeśli coś takiego istnieje, mówi mi czasem, że jestem odpowiedzialny za wszystko, co było produktem epoki, w której żyłem.

- Bzdura!

- A jednak coś w tym jest - powiedziała żona więźnia niemieckich obozów.

Albo brunet, człowiek, który wygrzebał się spod kupy ~~grubowłosa~~ trupów, nie chciał dać za wygraną. Miał naturę wrażliwą i skomplikowaną, ale wycierpiał tak wiele w życiu, że przyjmowanie na siebie jeszcze odpowiedzialności za zbrodnie popełnione przez oprawców wydawało mu się czymś absurdalnym. Nie miał już zresztą siłę bać się dwuznaczności i niebezpiecznych teorii moralnych. Ponieważ uznał, że najlepszą obroną jest atak, a kawa okazała się jego sprzymierzeńcem i zaczynała już działać - powiedział dosyć płóśno:

- Ludzie tacy jak ty utrudniali zawsze zwycięstwo. Jeśli wahałeś się i wątpiłeś oddawałeś część swoich sił tym, których sam stałeś się w końcu ofiarą! - ~~xkxkxkx~~
- A ty jesteś sam własną ofiarą - dlatego, że nie wahałeś się, nie wątpiłeś, dlatego, że wierzyłeś bez zastrzeżeń!

Były to ostatnie słowa, które dzieci mogły jeszcze jako tako zrozumieć. Te co w chwilę później nastąpiło, nie miało już nic wspólnego z rozmową. Starsi, siedzący dotąd przy ognisku, wstali i zaczęli krzyczeć, z początku pojedynczo, potem wszyscy na raz. Ognisko paliło się jasnym płomieniem i oświetlało ich twarze tak jaskrawym blaskiem, że wyglądali jak bohaterowie awantur- niczych powieści i filmów, które dzieci uwielbiały. Lu- dzie przy ognisku

wyrabiali dziwne ruchy, stroili do siebie miny. Wykrzykiwali przy tym jakieś zdanie, które wydawały się nie mieć ze sobą żadnego związku. Niektórzy przeskakiwali ognisko na stronę tych, z którymi się kłócili i stawali się w ten sposób przeciwnikami tych, którzy przed chwilą byli ich sprzymierzeńcami.

Dzieci patrzyły i bawiły się świetlne, jakby oglądały widowisko, ale tylko one usłyszały w pewnej chwili dźwięk, który nie dotarł do uszu starszych: był to hukot kołowrotek niosący się z dalekiej, pogrążonej teraz w zupełnej ciemności nierzeczy. Dzieci wyskoczyły więc z namiotów, pobiegły do ogniska i zaczęły także krzyżeć: ciągnęły starszych za ręce, szarpały ich ubrania.

- Halo! Halo! Wy nie nie słyszycie! Ryba bierze! Ktoś zó starszych oprzytomniał nareszcie i wrzasnął ochrypłym głosem:

- Cicho!

Zapanowała nagle cisza. Wszyscy odwrócili się w stronę, gdzie były wędziska i usłyszeli: z bardzo daleka, z ciemności, z głębi nieba pełnego drobnych, ostrych gwiazd, jakby z wnętrza kosmosu, słychać było przesypane, to znów urywane dźwięki, niby sygnały jakiegóś tajemniczej linii łączącej z ziemię z niewidzialnym wszechświatem. Ktoś ruszył pierwszcy, lub może zrobili to wszyscy naraz - dość, że teraz biegli w ciemnościach w stronę wąskiej, okrajanej czarną wodą nierzeczy. Biegli sapiąc i dysząc, potkali się o glazy i sterczące z ziemi korzenie. Wtedy wyprzedziły wszystkich, bo były bardzo ciekawo - jakie to wielkie ryby wypłynęły pó zachodzie księżyca z najgłębszych odmętów wielkiej rzeki, porwały przynętę i uciekały z powrotem na głębiny? Kobasły biegły także, bo chciały wiedzieć, co zjedzą mężczyźni. Kołowrotki grały w rozmaitych tonacjach, starzy znali dobrze ich głosy, było to piękne muzyka. Ale starzy pamiętali także, ile życia mają na kołowrotkach i dawali sobie sprawę, że nadanodzą taka chwila kiedy żyłko się kończy, rwie, i wtedy już wszystko jest stracone, Biegli więc szybko.

Kraków, 1962

Kornel Filipowicz

Jerzy Ficowski

NOWE WIERSZE

POST FACTUM

O czym on myślał
po zgaszeniu
w trzeciej sylabie
po ukaszawieniu
od węzła krawata

przebiega przed lustrem
nieśmiało, lecz się na niej
zzerwona ścieżka

okraszek przed
jak go dosięgły
z tak dalekich rzędów
także bili go brawem
rytmicznie bezbronni
w bawiciele
na śmiertelnej bladeści

O czym on myślał
pomyślnie bladej
z tym uśmiechem trygi

BYĆ KIMŚ

Ucz się ucz
czciwości
powiedział fałszarz
wstępuj w jego imię
ale podpis niech będzie
w miarę sił prawdziwy
nawet melodia
kiedy ją sfalszujesz
ma pozostać bezbłędna

trzeba wyręczać prawdę
zbyt ograniczoną
uderzać tak by cios twój
on sam sobie zadał

masz zmienić sposób bycia
nie wolno być sobą
dziś
być kimś
to brzmi dumnie

bądź nim w sposób właściwy
zostań w jego cieniu
masz go stworzyć częściowo
a zgubić w całości

byleś zdążył się wymknąć, zeń w ostatniej chwili

PODSTAWA PODZIAŁU

Miał tylko słowa
wykręcili mu słowa
do tyłu
ubezskowiony uczestniczył
w podziale
sprawiedliwym jak topór
rękojeść dla kata
ostrze dla skazańca

Chciał spytać
na jakiej podstawie
ale podstawa była
pieniek dla szyi
przywykły

już z niego raz
drzewo święto

ARCHEOLOGIA . PROFETYCZNA

pamięci Władysława Sebyły

obok skamielin czwartorzędu
i niewypałów bezpolesnych uru-
są pułki rozstrzelanych kości
strącone w głąb w ordynku

w takim klimacie dość surowym
choć w urodzajnym gruncie rzoczy-
ich dojrzewanie się przedłuża
powoli zbiera w nich
szybki cierniowy krzak eksplozji

narazie ponad nimi
krząta się era Zadoptywania
epoka Spluwania przez Lowe Pamięć
kultura Zacierania Śladów

ale wybuchnie prochów proch
umarłą salwą kamionową będzie
ugodzi w nas kość naszej kości
z nas wyłamana nam odjęta
wróci aby się zrastać
z kikutami kalectwa
ań poczujemy w niej
nasz ból

NIEŚMIERTELNOŚĆ

pamięci Antoniego Szonimskiego

Poetów jest dużo
ludzi nie tak wiele
Zaden znak nie zaludni
miejsca po nim Ono
rośnie pełne wielkiego czystego powietrza
nie dla palących
mosty
między brzegami ojców
a przyczółkiem wnuków
I stuka serce
maszyny liczącej
wymyślonej przez dziadka Voliga
do dziś liczącej na coś

12
liczącej na kogoś
na nieomylny wynik rachunku
sumienia

KOMEDIA BEZRUCHU

by ogary w las nie szły
wywoływać wilka

by poloneza zacząć
byle podkomorzy
nie śmiał

by nad poziomy
ogólnie dostępne
nikt nie ważył się włączyć

ani nie mądrkował
czy to Polska właśnie

a gdy już komu smutno
by nie wołał Bogo

jest przy nas ku pomocy
komenda bezruchu

arek Nowakowski

MÓJ PRZYJACIEL PISARZ
I INNE
PORTRETY Z PRZESZŁOŚCI

I. Mój przyjaciel pisarz

Ten pisarz był wspaniałym człowiekiem. A to nowe, co pojawiło się w tamtych latach w literaturze, przyjmował jak kruche, wymagające czułej opieki rośliny. Zostałem przez niego wyróżniony, moja dziewczyna również odgrywała ważną rolę. Wierzyła we mnie. W swoim pisaniu nie czułem się samotny i ośmieszony. Smieszności obawiałem się najbardziej. Więc nie peszyłem się wcale, kiedy Kumpie spod gołębnika Jędrka Kozy pytali - Szrajbujesz coś?

Był to czas idylliczny. Młodości i początku. Nawet ból zęba, który ropą gromadzącą się pod korzeniem rozsadzał głowę, nie przeszkadzał w niczym. Siedzieliśmy w gospodzie. Pisarz mówił o moim opowiadaniu "Ożenili". Podobało mu się. Nikt jeszcze nigdy tak nie mówił o moim pisaniu. Moja dziewczyna słuchała z chciwą uwagą. Jak on potrafił mówić! Whikliwa analiza tekstu w długich i krótkich zdaniach, gdzie słyssało się wszystkie nawiasy, słowa wybite tłustym drukiem, wielokropki, niedomówienia. Niezwykłej Zamówiłem butelkę. Sewek, który siedział po drugiej stronie stołu, nalewał. Jego gruba, włochata dłoń ozdobiona tatuażami nieomylnie odmierzała alkohol do szklanek. Wtedy w to niedzielne popołudnie niczego mi nie brakowało. Wódka, moje przedmieście, Kumpie przy sąsiednich stołach, dziewczyna ładna i oddana, opowiadanie napisane kilka dni temu i człowiek z nieznanego, dopiero co odkrywanego świata sztuki, tak odmienny od wszystkich dotąd znanych, delikatny, pełen wiary, mądry i przyjacielski. Sewek patrzył na moją dziewczynę i pisarza nieruchomym, ciężkim spojrzaniem. Miał takie oczy jak kamienie. nie mrużyły się i były bez żadnego blasku. Dziewczyna i pisarz speszyli się nieco.

- Czy to córka tego starego - zapytał Sewek.
Pisarz miał młodą twarz, lecz był zupełnie siwy.
Zaprzeczyłem.

Sewek znów milczał. Potem nagle opowiadał jak wypił litr wódki pod zakład. Przez kwadrans po wypiciu miał poruszać się równym, trzeźwym krokiem. Taki zakład.

I wytrzymałem dwadzieścia minut - zakończył Sewek -
Dopiero padłem.

Stuknął palcem w pustą butelkę. Chciał jeszcze wódki. Ja też. Moja dziewczyna sprzeciwiła się, siar nowczo.

- Ten siwy - rzekł z goryczą Sewek - wygląda na nadzianego.

Odprowadził nas cieniastą aleją wśród kasztanów. Sewek nie miał do ludzi sentymentu. Interesowały go jedynie zegarki na przegubach ich dłoni, które zrywał jednym pociągnięciem i kieszenie gdzie trzymali swoje pieniądze. Polował na pijaczków pod gościec. Żył z żoną. Była. To znaczy obaj żyli z tą żoną. Chodzili zgedną trójką do gospody i kiedy Było się działo w pudle, to Sewek mieszkał u niej jak mąż. Obaj z Byłem rośli, pleczyści, o szerokich twarzach ozdobionych puszystymi bakami. Podobni. a oia suka, żyłota.

- Niebawale - powiedział pisarz - ten twój świat. Jak fascynująco o nim opowiadasz... Pisać też tak samo zaczynasz...

Spojrzałem na niego podejrzliwie. Oczywiście miał intensywnie niebieskie i wydatne, mięsiste wargi.

- To jest właśnie talent - zakończył.

U skraju kasztanowej ulicy pozostał Sewek. Nie ruchomy, wsparty o drzewo wyczekujący.

- Talent! - słowo to posiadało dla mnie skrzydła.

Moje przedmieście wypiękniało w oczach. Drownie ne rudery i gołępniki. Okopcony komin fabryki Fol ludzie w bramach. Glinianki zarosłe trzejsną. Być wiernym swemu pragnieniu i opisać to wszystko, szaro, boleśnie i porażająco. Niech ci, co czyta, będą, poczują siłę elektrycznym dreszczem przenikającą moje pisanie.

Pisałem wtedy pierwsze opowiadania. Moja dziewczyna na przepisywała na staroć, rozklokowanej maszynie typu Erika. Rwała się taśma, kiepsko wychodziła nam

interpunkcja i krzywym ściegiem szał się maczek liter.
Korzystaliśmy z wolnego gabinetu robót ręcznych w
szkole mojego ojca. Pooglądał nas woźny Zalimas. Krę-
cił głową i szeptał coś ojcu. Ojciec uśmiechał się
dobrotliwie.

Świat sztuki stawał się coraz bliższy i czułem się
już członkiem tego bractwa, które spaja gorąca na-
dzieja utrwalenia uchodzącego czasu, co tak szybko
zmienia się w popiół i ulega zapomnieniu. Choćby ta
niedziela, pełna słońca i błękitu, kiedy przyjechał
na obiad do naszego domu kolega siostry ze studiów,
barczysty mężczyzna o złocistej czuprynie, wspiera-
jący się na kulach.

Tascynował siostrę swą męską urodą i mroczną biogra-
fią. Przesiedział na syberyjskim zesłaniu siedem lat
i pięknie śpiewał. Po deserze wyszliśmy na taras i
ojciec poprosił go o śpiew. Nie dał się długo prosić
i z tarasu na naszą cichą uliczkę buchnęła włoską
aria, a po niej tęskne, rosyjskie pieśni, których
nauczył się na zesłaniu.

- Wspaniałe! - powiedział pan Wilczyński, zgorz-
kniały wdowiec mieszkający w kamienicy naprzeciw,
który po tym występie wychylił się z okna i długo
klaskał w dłonie.

Zostałem pisarzem. Sewek poszedł do więzienia.
W gospodzie rozprawiano o jego ostatnim wyczynie.
Wszyscy słuchali z błyszczącymi oczyma. Natomiast ja
byłem już pogrążony w innych fascynacjach.

Tój protektor i przewodnik, ten znany pisarz o młodej
twarzy i siwych włosach, poznał mnie z wieloma cie-
kawymi ludźmi, artystami teatru i filmu, malarzami,
pisarzami. Wśród nich wyróżniał się smukły, drugo-
ci mężczyzna o wąskiej, rasowej twarzy. Chodził w
wytartych farmerskich spodniach i potrafił wygrywać
egzotyczne melodie na indyjskich piszczałkach. Był
z tego pokolenia, które otrzymało swój chrzest bejo-
wy w powstaniu warszawskim. Z tamtych lat posiadał
Virtuti Militari i ciągle żywe uznanie dawnych to-
warzyszów broni. Teraz nie wierzył w nic i wszystko
potrafił obrócić w niwecz celnym szydorstwem. Wyde-
rzał mi się w swej abnegacji i cynizmie wyzwolonym
złowikiem. Szalały za nim piękne kobiety, a on
zarował błyskotliwą, absurdalną sztuką konwersacji
erudycją w wielu dziedzinach. Nie dziwił się

zaczynał i był dobrym kompanem w spacerach po knaj-
pach na moim przedmieściu. Wkrótce przyszły dla nie-
go czasy sławy. Był tym drugim obok Zbyszka Cybulskie-
go w Popiele i Diamencio.

Tak bardzo pochłonięty pisaniem i życiem w kręgu
artystów, nie zapominałem jednak o moim przedmieściu.
Tam były moje korzenie. To wiedziałem od początku.
Dawek znów był na wolności. Nadal miewał kłopoty
z prawem i moja dziewczyna pisała mu rozmaite odwo-
łania.

Przesiadywałem nad glinianką z Benkiem i słucha-
łem jego niezrównanych opowieści. Benek niebawem
został tytułem drugiej mojej książki. Ten znany pi-
sarz, który został moim przyjacielem, bywał niekiedy
w domu moich rodziców na uczynionych obiadach, lubia-
ny za czar osobisty i skromne, bezpośrednie zach-
owanie. Matkę urzekają najbardziej jego poobiednie
drzemki.

... Czuję się jak u siebie... - powiedziała szeptem.

- Popatrzcie!

A ponieważ pisarz był kawalerem, widziała go na-
wet mężem mojej siostry Anieli, która była panną.
Ja i moja dziewczyna uśmiechaliśmy się wtedy, skry-
wając ten uśmiech pod dłońmi.

W życiu mojego przyjaciela pisarza najważniejsza
stała się Bułgaria i to miasto o tureckiej archi-
tekturze z meczetami i kafejkami, przesyłając wzdzie-
rające się w morze, Neseber. Tam poznał chłopaka
o śniadoj twarzy i wilgotnych, południowych oczach.
Marzył zachłannie o nim, bojąc się jednocześnie ujaw-
nienia swego uczucia. Wtedy już zwierzał mi się ze
swych bolesnych, zatajonych spraw i to zaufanie sta-
ło się miarą naszej przyjaźni. Zaprosił tego połud-
niowego chłopaka do Polski. Obwoził go po kurortach
i opsypywał prezentami. Był to pobyt młodego maha-
radży. A mój przyjaciel pisarz twarz miał coraz bar-
dziej zmęczoną i oczy jego nie miały już dawnego
blasku.

Pamiętam ten wieczór w jego mieszkaniu /z okna
widać było chmurne niebo i wieże pobliskiego koś-
ła/, kiedy opowiedział o swojej przygodzie z żołnie-
rzami na przepustce. Był podpity, a oni ładni, wsio-
wi chłopcy. Stawiał im i coraz śmielsze stawało się
pragnienie męskiego ciała. Wtedy dostał cegła.

Odzyskał przytomność nocą, porzucony w zaroślach i bez pieniędzy. Mówił o tym i jego oczy miały wyraz zaszczutego zwierzęcia. Brzydzącego cyniczni łowcy męskich ciał za pieniądze. Piękny, południowy młodzieniec znad Czarnego Morza był ideałem miłosnych jego pragnień i tak bardzo chciał wzajemności.

Męczył się ukrzyżowany na tych sprzecznościach nie do pogodzenia i czasem jego głos stawał się szorstki jak rzemień, usta twarde, złe.

Był zmęczony tym najgorszym zmęczeniem człowieka, co ukrywa prawdę przed samym sobą.

Czas wtedy nadchodził zły i ludzie, którzy dotąd godzili się na to, co ich różniło w poglądach, stawali się coraz mniej tolerancyjni, zaciekli. Mój przyjaciel pisarz lubiany był przez dostojników kierujących życiem tego kraju. Podziwiali go za mowę miodopłynną, kunsztowną jak wypieszczone stronicy poetyckiej prozy i zapraszali do książęcych pałaców, które zmieniły swoje przeznaczenie służąc do wypoczynku rządowej elicie. Może ci brzuchaci, gorzała naćpani wielmoże wyczuwali instynktownie jego skłonności; może wyobrażali sobie, że oni, te boki pełne gnoju, są przedmiotem jego adoracji?

Słyszał tam pijackie rozmowy przy biesiadnych stołach. Zło, nienawiść i głupota znów brały górę. Przerażały go te rozmowy. Na nic zdawał się jego dar, niezwykle godzenia sprzeczności. Delikatna, galuzyjna proza, którą władał po mistrzowsku, ginęła we wrzasku ordynarnym i zaciekłym, gdzie nie było miejsca na wątpliwości, szlachetne rozterki czy wahanie. Te gęby prostackie, czerwone i zacietrzewione... Ciemny bękot nienawiści, co buchał z ich ust... Czuł pisarz jak trzeszczy i zawala się ta fikcyjna arka przymierza, w której starał się dotąd żyć. Wiało coraz mocniej smrodliwym podmuchem.

Kulminacyjną rolę w mojej pamięci odgrywają imieniny młodego adopta literatury w restauracji za miastem. Kolorowa markiza dająca błogi cień i lipy szumiące w lekkim wietrze. Piknikowy nastrój. I wtedy zwierzył się pisarz swoim przyjaciółom. Mówił o tej wilczej zacielkości co wyłazić z ludzi zaczyna. Zaczął pięknie i kunsztownie jak zawsze. A kończył już po omacku i bez zwykłej swojej swady. Wywodził o jakimś złotym środku, który jak balsam zaleczy ropiejące rany i pogodzi wojujące strony. Iż zabrakł

głos był... przedstawiając profesor filozofii, który
był wsł... tą korony nauk.

- Jak... w... oru kawę albo herbatę - powiedzia-
ał - to nie możesz prosić mazagran.

Po tym zapanaowało milczenie. W filozofa z uwiel-
bieniem wpatrywała się śliczna dziewczyna, jego stu-
denta.

Mo... przyjaciel pisarz nie nie odpowiedział. Pa-
rzykiem na niego ukradkiem. Ostatnio słowo należa-
ło do filozofa o kościstej twarzy z wysuniętą sz-
częką, który budował zdania precyzyjnie, krótko jak
matematyk swoje równania.

Byłem już dojrzały. Wiedziałem, że sztuka to nie
ładna lekkość i bajeczna kraina uniesień, ale ciężka
hardwa, gdzie najważniejszą jest uczciwość wobec sie-
bie i mocne przedzieranie się przez gąszcz kłam-
liwych słów w poszukiwaniu tego jednego jedyne-
go, które przylga do naszy jak skóra do ciała.

Zły czas, który przeczuwał mój przyjaciel pisarz,
nie ominął również długonogiego mężczyzny o wąskiej,
raśowej twarzy. Gdzieś go csaczono. Do czegoś został
przymuszony. Jego dumną, niezależną duszą zawiad-
nęła tajna polejka. I dzięki jego zeznaniom posa-
dzono na kilka lat jego przyjaciola, z którym pro-
wadził finezyjne rozmowy o kosmogonii Kanta i słu-
chał koncertów Bacha. Cóż... naznaczony został pięc-
nem donosiciela. Parzyło go to. Spowiadał się przyja-
ciółom. Pragnął od nich rozgrzeżenia. Milczeli. Mio-
tał się między samotpieniem i nienawiścią. Złorze-
czył i szukał zapomnienia w kamiennym chłodzie ko-
ściołów. Byłem na jego bierzmowaniu. Wielką wagę
przywiązywał do tego obrzędu.

- W tym samym kościele, gdzie byłem chrzczony -
podkreślał z naciskiem - u Aleksandra.

Tak oto życie wepchnęło go w mrok szaleństwa.
W coraz krótszych odsłonach jasności czytał tomis-
tów i jeździł rowerem.

Pamiętam spotkanie z nim w pewien jesienny pora-
nek, pod rachitycznym drzewkiem, które wyrastało z
płyt chodnika. Jechał rowerem. Twarz miał opuchniętą
i oczy niesamowite.

- Jestem zmęczony - powiedział. - Ścigali mnie no-
cą... po dachach... Ta szajka, wiedz?
Przytaknąłem.

Też już bywałem chwilami bardzo zmęczony i w głowie roilo mi się od sprzeczności. Uciekałem na swoje przedmieście. Siadywaliśmy z kumplami nad gliniarką. Myślałem o tych siłach siemnych i nieczystych, co tak nagle rujnują człowieka. Wódka wywoływała we mnie potrzebę zwierzeń. Benek słuchał ze zrozumnieniem. Rok już minął jak zgodził się być tytułem drugiej mojej książki.

A wszystko skończyło się nagle i nieodwołalnie. Zadzwonili do mnie o święcie.

- Przyjeźdź!

Pojechałem. Mój przyjaciel pisarz leżał w łóżku. Nie żył. Twarz miał spokojną, gładką i pusta fiolka po barbituratach stała na nocnym stoliku. Potem przyszli ci z Muzeum Literatury. Zabrali jego pamiętniki. Szesć grubych kalendarzy zapisanych gęstym maczkiem. Dyrektor Muzeum, wysoki, chudy, z wielkim nosem, czarno ubrany, wspierał się na parasolu, pachniał wódką i śmiał się tubalnym, mochańnicznym śmiechem. Cosposia pisarza płakała. Moja dziewczyna też. Pomyślałem o tym pięknym Bułgarze, którego pokochał pisarz.

- Pan był taki dobry... - powtarzała gospościa.

Rozwiał się wszystko jak dym. W tanto lato gliniarka stała się moim azylem. Tam próbowałem uporządkować chaos, który ogarniał zewsząd. Sewek siedział z nieruchomą twarzą. Oczy miał też nieruchome. Benek patrzył na Sewka z niechęcią i powtarzał: Złodziejce to jedno wielkie barachlo... Sewek chichotał.

- Pamiętasz tego siwego co wódkę z nami kiedyś pił w gospodzie - zapytałem Sewka.

Sewek już nie pamiętał. Benek zaczął opowiadać o swoich zwidach. Z nadmiaru alkoholu przesładowały go nietoperze i ciągle wynurzała się ręka uzbrojona w nóż.

- Głowy nie masz do gorzały - stwierdził obojętnie Sewek.

Pisałem nadal, ale ludzie, których chciałem opisać, wymykali się jasnej ocenie. Tacy byli niejednoznaczni, tak mienili się jak kamieńcyny. Rozglądałem się po omacku, poszukując klarownej skali wartości i człowieka wspaniałego, który byłby moim wzorem.

Ciemno. Idę martwymi uliczkami mojego przedmieścia.

Sewek czai się pod gospodą. Jest samotny. Było umarł w więziennym szpitalu, a Jadźka wyjechała na zachód.

- A to ty !!! - mamrocząc zawiedziony Sewek i znów nieruchomieje za pniem w drapieżnym, ciężkim wyczekiwaniu.

- Gdzie są moje korzenie? - powiedziałem nagle w ciemność.

Poczułem się bezradny i opuszczony.

Dlatego postanowiłem napisać o tym pisarzu, który był moim przyjacielem.

2. NOCNY GOŚĆ

Po północy skończyłem Azyl. Zgasilem lampkę i rozmyślałem o gangsterze przezwiskiem Wytrzeszcz. Jego spokój w śmiertelnej celi. Te zapalki, które układał w oczekiwaniu i ta mała łapka, tak niezawodna w zespoleniu z pistoletem... W tamtych czasach wtargnęła w naszą wyobraźnię literatura Wielkich Amerykanów. Po latach postu to była burza. Wytrzeszcz o kauczukowych, nieruchomych oczach. Templo, młoda, głupia dziewczucha i kaczan kukurydzy rozsadzający jej króćce. Wspaniałe!

Babcia w sąsiednim pokoju przestała pojękiwać i modlić się niezmiordowanie. Zasnęła. Dziadkowi grała w płucach astmatyczna orkiestra. Też zasnął.

I naprawdę, żaden to fałsz pamięci, pomyślałem również o Marku Hłasce. W tamtych czasach on dla nas był taką samą przygodą jak Amerykanie. Jego proza przyniosła prawdę warszawskich ulic, bazarów i knajp, kipiała od brutalnych, dosadnych dialogów, przetykanych gorzka, w której najchętniej i najłatwiej tepi się ból, klęskę. Tak oceniałem tę prozę. Zapewne z zazdrością. Też w głowie kłębiło mi się od strzępów rozmów, obrazów, sylwetek poznanych ludzi. Naładowana tym głowa, a kiedy zapisać to chciałem, ręka drętwiała jak sparaliżowana i słowa, zdania, obrazy na papierze też były jak sparaliżowane. Więc pomyślałem o Nim i o sobie. Od roku był naszym pisarzem. Wykupowaliśmy literackie tygodniki, poszukując Jego opowiadań. Dopytywaliśmy się jak wygląda. Opisy bywały

różne. Silny, barczysty brunet o brutalnej urodzie. To znów wysoki, giętki jak trzcina blondyn, przypominający wikinga, aż zobaczyłem go pewnego razu. Słusznego wzrostu, miał jasne, żywe oczy i twarz skrzywioną w przekornym, cwaniackim grymasie. Wielu z nas w tamtych czasach marzyło o pisarskich ostrogach. Świat był taki barwny, dziwny i naprawdę domagał się opisanie.

Ten dom dziadków kolegi, gdzie już od miesiąca mieszkałem.

Dziadek wesółki i dawny bibrant, przed samą wojną wygrał w ruletkę pięć tysięcy dolarów. Gest miał szeroki i lekka rękę. Gdyby nie babcia, nie by z wygranej nie pozostało. A tak był ten domek z przybudówką w starym sadzie. Przybudówkę zajmował Piotr, biały Rosjanin. Wyglądał jak pop. Potrafił gwałtem z nieźrównaną swadą wskrzeszać dawno umarłe czasy. Odwiedzają go hałaśliwo kobiety i wtedy Piotr uśmiechał się do nas figlarnie. Następnie zaciągał kirenki. Dziadek chodził podglądać.

Rodzice kolegi rozeszli się i on mieszkał tutaj wraz z matką. Dziadkowie potępiali syna, który porzucił żonę dla innej kobiety. Babcia opłacała wychowanków i oni biegali przez bazar na Pańskiej za tą kobietą, wołając: Stara kurwa Antonia!

Dziwność, nieczłowieczeństwo i pozorny brak logiki w ludzkich poczynaniach fascynowały najbardziej i umieć to opisać wydawało mi się najwyższym kunsztem, bliskim stanu cudownej łaski.

I nie wstydzilem się wcale tego wyznania, które uczyniłem kołodze w nocnej Kameralnej. Popijaliśmy wtedy, orkiestra grała modne szlagiery i na parkiecie hasał znany warszawski lowelas i aferzysta, popularny nie tylko z powodu hulank. Od niego rozoczęła się bowiem krwawa sprawa wielokrotnego mordercy Mazurkiewicza. Mazurkiewicz jego również postanowił pozbawić życia i pieniędzy. Zaprosił więc na przejażdżkę autem i strzelił mu w łeb. Strzelił niecelnie. Lowelas stracił jedynie przytomność i ocknął się niebawem, zdziwiony tym co zaszło. Wyszedł z życiem, ale bolała go głowa. Poszedł do lekarza i ten wydcbył mu kulę, która utkwiła u nasady czaszki. Dalszy ciąg skojarzeń jest oczywisty. Lowelas hasał na parkiecie, bo tro-

sko uśmiechnięty, obmacując swą partnerkę o wybujałych kształtach. Imponował witalnością.

Kolega kiwał głową w takt muzyki i powtarzał - To był numer... Wiesz - przechylił się do mnie. - Ja też bym chciał żeby... - nie dokończył, przetłoczony niewyraźną śmiałością swoich pragnień.

Natomiast ja, osmielony alkoholem, wypowiedziałem się do końca - Chciałbym umieć opisać to wszystko. I nawet kosztem życia. Rozumiesz? Niech mi nic nie wychodzi, w miłości, w pieniądzech, w różnych takich... Byłoby tylko to! - Rozlałem sobie kawę na kolana. Podskoczyłem oparzony gorącym płynem. Pate-tyczne było to wyznanie. Ale nie czułem się śmieszny. Taki to był czas. Szukaliśmy swojej drogi i nie wstydziliśmy się zbyt wielkich słów. Kolega przytaknął z powagą.

- Tak jak On - powiedział, myśląc o sławnym, młodym pisarzu.

Sam nie miał pisarskich ambicji, ale ten młody pisarz był dla niego gwiazdą, którego rosnąca sława była na tyłu ustach. Ponadto był moim oddanym powiernikiem. Wtedy na sztukę panowała moda. Nawet Tadek Miller, cyniczny podrywacz, nosił ze sobą futerał na skrzypce i zaczepiał dziewczyny, przedstawiając się jako skrzypek. Futerał wypychał gazetami, czasem miał tam wałówkę.

Powoli moje myśli leniwiły, rozlażyły się i gasły. Nadchodziła senność. Ale ta noc komponowała się jak literatura. Z pierwszego, płytkiego snu wyrwało mnie walenie w okienną szybę. Wrócił kolega. Otworzyłem okno. Był z kimś drugim. Obejmując tego drugiego i pomagając mu przesadzić parapet, powtarzał w euforii - To On! Jestem z Nim!

Znaleźli się w pokoju.

- Poznajcie się - kolega przedstawił swego towarzysza. Tamten wyciągnął dłoń. Była miękka, wilgotna. Kolega biegał gorączkowo po pokoju.

- Trzeba obudzić dziadka - zdecydował. - Niech nam da swojej nalewki. Musimy to oblać. -

Ten drugi był niewyśoki i milczał. Ogarnęła mnie emocja. Wroszciole porozmawiam z Nim. Wiele miałem do powiedzenia. Zapaliłem małą lampkę. I ta odłona, która zaraz nastąpiła, spowodowała, że zacząłem się głośno śmiać. Był to taki szcurek.

Spotykałem go na szlaku. Zerował na niedopitych kieliszkach. Wysługiwał się dziewczynom. Często miał ze sobą papierową teczkę. Siadywał po kątach i bazarzał coś. Tak samo jak ja. Pragnienie pisania domagało się choćby tej marnej namiastki w postaci z zapisanymi arkusikami papieru. Stał pod ścianą, bezradnie mrużąc oczy. Chudy, niewysoki, w za obszernym swetrze, o okrągłej aniołkowatej twarzy.

- Pomyliłeś się - powiedziałem do kolegi. - To nie On -

- Jakto? - wytrzeszczył oczy.

Ciągle śmiejąc się, przedstawiłem mu nocnego gościa. On cofnął się za piec i zgarbił:

Kolega rzucił się na niego całym impetem swego rozczarowania. Wymierzył mu mocny policzek. Nie broził się. Stał z opuszczonymi rękoma.

- Tak jakoś wyszło - szepnął. - Siedziałem sobie, pisałem, a on podszedł do mnie i sam zagadał o to pisanie. -

- Won, won - wykrzykiwał kolega.

Nie rozbierając się, zwałił się na kanapę. Odwrócił do ściany.

Ten w za obszernym swetrze popatrzył na mnie błagalnie.

- Gdzie ja pójdę? Tak po nocy... -

Wskazałem mu dywanik na podłodze. Rzuciłem koc. Ułożył się tam pośpiesznie. Przyglądałem mu się z uwagą. Twarz miał delikatną i falujące włosy. Wytrzymał moje spojrzenie. Odpowiedział nieśmiałym uśmiechem.

- Czasami - wybąkał - wydaje mi się jakbym był nim naprawdę.

- Często tak - zapytałem.

Pokiwał głową. Z fotela zdjął poduszkę i wsunął sobie wygodnie pod głowę.

- To wszystko już mam w głowie. Jakby gotowe - głos jogo, z szeptu stawał się coraz mocniejszy, śmiały. - Tytuł też mam. Żelazny Wilk. Niezły, prawda? -

I mówił dalej. A to co mówił o zdeptanej miłości, miotającym się bezsilnie alkoholiku, przedmiejskich żulikach i posępnej, praskiej ulicy. było stopem wielu opowiadań sławnego, młodego pisarza.

Kolega poruszył się gwałtownie na kanapie.

- Woni! - wymamrotał.

Nocny gość przerwał swą opowieść i przykulił się strachliwie. To jego chude, brudne dłonie w skąpym blasku lampki tak kurczowo osłaniały twarz. Po jego szyi błyszczące jak u zwierzątka poprzez palce. Zapanowała cisza.

Zgasiłem lampkę. I po tylu latach znowu przypomniają mi się oni, Wielcy Amerykanie, Marek Hłasko, inni jeszcze, ci anomimowi, którzy wtedy dopiero nie śmiało skrobali w ścianę. Podżan więc tą uliczką co wyżej opadała w dół. Na początku drogi kiosk z piwem, gdzie wystawali węglerze i ten najstarszy de-rożkarz z sumiastymi, siwymi włosami. a dalej stare kamienico o odrapanych, ospowatych od pocisków ścianach i na jednej z nich egzotyczna tablica, która dziesiąt też tam widnieje - Islem Parvari Zadeh. Naprawa i czyszczenie perskich dywanów.

3. PATOKA

- Całą noc nie mogłem spać - powiedział Stefan.

Przyjaźniły się od lat. Często telefonowały do siebie. Początek naszej przyjaźni bierze się z młodości. Ja przybyłem na wielkonocejski szlak na to z przedmieścia ni miasteczka. Stefan z Poczajek.

Obaj znaleźliśmy się w starym, przystającym jeszcze carskie czasy więzieniu na górze. Mur były żółte, piece dymły, z okna widok na Pomnik Bohaterów Cotta. W letnie wieczory śpiewaliśmy w kraty dzięk, tęskne pieśni urków z Czebaku, janszczyku i męlowanej lali. Kipiało w nas wtedy siłą i wyobrażaliśmy sobie niamako. Przygniotły nas lata. Goryczy i słabości przydały. Stefan jest fryzjerem, ja pisarzem. Z tamtych lat Stefan posiada na swoim ciele mnóstwo tatuaży, ja tylko jeden. Stefan ma sprawę z córką.

- Dziecko - powiada - to nie zabawka. -

I pragnie, żeby córka spełniła jego oczekiwania.

Ja mam sprawę z pisaniem i czasem wydaje mi się, że przegrałem. Wtedy robi się pusto i glucho. Nie ma nic. Po pijanemu Stefan dzwoni do mnie i powiada -

25

- Kurwa, żeby jeszcze coś się stało!

Po pijanemu dzwonię do niego i mówię to samo.

I nagle przypomniał nam o sobie Patoka. Wyczytał ten list gończy za nim: Zapamiętałam z opisu oczy żółte i liczne włamanie. Oczy żółte. Takie oczy musi mieć drapieżny kot przed skokiem. Patoka znał swoją drogę zuchwałymi włamaniami i za to go poszukiwali.

Jak zza ngły wynurzyła się Cęsiówka i spacerdał między murami. Ky, małolatki, patrzyliśmy z okien pierwszego piętra na spacerującą recydywę z VI-od-iziatu.

- O, Patoka - zaszepcano.

Był już wtedy sławny. Przypomnienie poruszyło. Odżyła legenda dawnych lat.

Zadzwoił Stefan. Nie mógł spać całą noc. Ujęli Patokę. Wyczytał finał w gazecie. Przygnębiła go przypodłowość tej końcówki.

Spotkaliśmy się nad Jeziorkiem Kamionkowskim i chodząc wzdłuż brzegu, rozważaliśmy rzecz całą. Po udany włamanie do zagranicznego przedstawicielstwa handlowego, skąd zabrał kilkanaście tysięcy dolarów, ruszył w Polskę, wydawał bankiety, występował jako poseł.

- Wygląd to on ma - stwierdził Stefan.

Ja go Patoki nie pamiętałem.

- I wyrwał później jakieś byle jakie mieszkanie - westchnął Stefan. - Po co mu to było. Forsy miał jak i ja.

Przez Jeziorka Kamionkowskiego jeszcze zimowy, kryli pole, trochę lodu na wodzie. Baleton, nazywało ten staw ludzie z praskiej strony.

- Musiał rzyść - uznał Stefan - to był artysta. Bez rzypania nie ma dla niego życia.

Pod Patoką wypiliśmy flaszkę. Mało co mówiliśmy. Kiedy siedział w swojej przeszłości. Ile to już lat się przewalilo!

Oglądałem film jugosłowiański Deps. Była to sugestywna opowieść o przestępcy, który przesiedział dziesięć lat w więzieniu i zaprzestał swego fachu. Mimo to nie ma spokoju. Nieustannie nekają go tajemnicy. Sława specja od trudnych rebot dalej mu towarzyszy. Samotny boryka się ze złym losem i opowieść o jego życiu bardzo mnie wzruszyła. Tak sobie

wyobrażeń bohatera drugiego pierwszego opowiadania, która zobaczyła w druku. Tęstego nazywali Kwadratowy. Ten z filmu przeszedł jako...

Wtedy zadzwonił Stefan i powiedział - "Te było tak jakby gdzieś daleko zrobili film z twoich opowiadań. - Stefan odwiedził czterdzieć lat i nie jest skłonny do łatwych ustępstw czy egzaltacji.

Wcisnąłem się, że myślał tak samo jak ja.

Byłem świadkiem w sądzie. Wielez sprawy między ludźmi. Staruszkę wygrali z mieszkania i opowiedziałem sądowi, który był kobietą w średnim wieku, jak to odbyłem tej staruszce kofrę, żeby uchronić się przed zimą, pozbawiona swego domu, przebywająca w nieopalanej rudercz. Podziękowało. Czy kobiety w średnim wieku pełne współczucia. Jako świadek wystąpiłem skutecznie.

Wyszedłem na korytarz i dotarłem do sali, przed którą zebrała się spora gromadka ludzi. Przeczytałem Wokandę. Sprawa Patoki. Taki przypadek. Wszedłem tam. Siedział między miliofantami. Niepozorny i lęzawy, siedział samotny na ławie oskarżonych.

Znawca więzień szczur, przerzucany od celi do celi, żeby węszyć i podsłuchiwać. Miał teraz opowiedzieć co wywiódł się od Patoki podczas wieczornych godzin, każdy więzień najbardziej gniecie samotność i spawia ślad zwierzeń.

Ten szczur sparaliżowany był wzrokiem Patoki. Odwracał głowę od ławy oskarżonych i aż skręcał się z wewnętrznej udręki.

Naraz zaskomlał - Nic nie powiem! Nic nie wiem! Powiem to nie będzie dla mnie życia w każdym jednym więzieniu w całej Polsce. Wszędzie dopadną!

Patoka przyjrzał mu się z zainteresowaniem. Po jego twarzy błyskał się ulotny, pobłażliwy uśmiech. Narzępnął z klary marynarki jakiś niewidoczny pył.

Stędy go sobie przypomniałem. Co tydzień chodziłszy do ławki i tam w kłębach pary odsłaniały się tatuaże pokrywające ciała więźniów. Przeróżne i wyryślane to były wzory, ale nie wiem czasu, najbardziej wzrok mój przyjeżdżał tatuaż, który był jak średniowieczną sztuką: wysoka góra, zameczysko i droga podjeżdżająca rycerza na koniu. Rysunek ten pokrywał plecy jednego z więźniów.

- To Patoka - powiedział Ząbek, mój celowy za

III-ej celi.

Przyglądałem się jego twarzy. A raz, w tej chwili, ponurej sali sądu, wyłożonej brązowym drewnem, nasze spojrzania zderzyły się, moje i Patoki. Wydaje mi się że patrzy on we mnie intensywnie, i zapragnął, żeby dzieliło mi się choć trochę jego siły.

Pomyślałem, że tyle lat działał nieprzerwanie, nie ma już więzienia, w którym siedzieliśmy. Zostało zburzone. Zburzone wiele starych domów. Zaminie to wiele knajp i nie ma dawnych bazarów. Pojawiły się nowe domy i place. Patoka ciągle kradł, do-
stawał się do więzienia, uciekał, znowu kradł.

I pomyślałem też, że wszystko w jego życiu poza tymi śmiałymi włamaniami, długimi latami więzienia, a potem napiętym wyczekiwaniem na szansę ucieczki, więc wszystko to inne: kobiety, smak spokoju, rodzina, ciepło i rozkosz bezczynności, było nieważne.

Twarz miał szarą, wychudłą i pobrużdżoną, a te resztki włosów siwa, ale nie czuło się w nim zmęczenia, rezygnacji; pod tą niepozorną powłoką tkwiła niewyczerpana jeszcze siła, która przejawiała się w zacisku guzłowatych, mocnych szczęk i uporze wydatnego podbródka. Pozazdrościłem mu tej żelaznej konsekwencji, choć jednocześnie te lata więzienia, długie jak niejedno życie, mroziły wyobraźnię.

Adwokat, stary człowiek o znużonej twarzy sądownego wyjadacza, tym razem był ożywiony.

- W sumie przesiedziane dwadzieścia lat - powiedział
- osiem udanych ucieczek.

Opowiadał o Patoce z uznaniem, jako o doskonałym fachowcu i artyście zarazem.

- Wyrok będzie duży - dodał młody aplikant.

Odprowadził wzrokiem Patokę, prowadzonego przez dwóch milicjantów.

Patoka dłonie miał skrzyżowane na przedzie, spie-
te kurtuazją przysunął się do śolany,
ustępując miejsce kobiecie w czarnej todze z czar-
woną obszywką.

Milicjanci twarze mieli skupione, czujne. Ironia
konwojowali zwierzynę.

- Prokurator domaga się piętnastu lat - powiedział
aplikant.

Stary adwokat też obejrzał się za Patoką.

- Ucieknie - powiedział z przekonaniem. Tylko

razem uciekał.

Znów spotkaliśmy się ze Stefanem nad Jeziorkiem i Kamionkowskim. Już była wiosna. Spiewały ptaki i pojawili się pierwsi rybacy. W krzakach pili wódkę. Dziad zbieracz czekał cierpliwie na puste flaszki.

- Prokurator domaga się piętnastu lat - powiedziałem Stefanowi.

Pokiwał głową. Był skacowany i męczyła go okrutna ropresja organizmu zmęczonego wódką. Myślał o robotcie, którą miał zacząć od południa. Myślał o egzaminie z nowej męskiej fryzury, którą zaczęto wprowadzać w jego fachu. Ja też byłem marny. Dręczyła mnie jakaś trudna do wyrażenia udręka. Coś zacząć? Coś rzucić!

Ale co, jak?

Dziad zbieracz kląć zaczął. Pijani wyszli z krzaków i zabrali ze sobą opróżnione flaszki.

Stefan patrzył posępnie w wodę.

- Ucioknie - powiedział.

W tym była i moja cała nadzieja.

Marek Nowakowski

Barbara Sadowska

N O W E W I E R S Z E

x

x

x

dwa stare zegarki w obierzynach powiek
nie odstępują mnie na krok
nie cofają się przed niczym
świecą mi w twarz

patrz nami:
zaniast

RZEŹNIA P S K Nr I

nie mogła mu się oprzeć Umyślnie szła za
ciemność trwała chwilę Cuch fali osunął
wędrowni kres Rzeźnickim hakiem chirurgicznej
sztuki błysnęła prawda
w jałowej przechodniej koszuli
przytroczone ciało straciło głowę Zawisło
serce waliło miarowo jestem z tobą z duchem
jestem duchem o ciało całym sercem z tobą
czuła te ryzy te rytmy jakby gubiła liście

WYĘMACZKA

zanim zaczęły się cisnąć/dukać/ na usta te perełki
miał być bawstydny kad gruchania. Na ten czas objęto
ochronę traf. Ślepy traf który miał sobie z tobą
poradzić
Głaskane po drodze gady unosiły główki. Wrocąkam do
dawnego pytania: co lubią tyranozauury. Stopień rozwoju
nie miał się zupełnie do stopy buszującej w udziałach
rzeczywistości więc wołałam już pytać czego nie lubią
tyranozauury. Lubią po trochu i po wszystkim nie lubią
mnóstwa niczego szczególnie powiewu wolności przeciska-
jącej się od trzydziestu lat przez Cleveland/eagle
brand clothes wringers - warranted 8 years/ Ślepy traf
miał na imię wielka biała ryba/szczęśli. To tedy zaczęły
się cisnąć na usta te perełki.

WOŁĘ; "TU MUHAMMED ALI" NIŻ "PRZEPRASZAM CZY TU BIJĄ"

picrwszego ruchu nie ma Jedynie szczątkowość
cichutko molestujący psi pazur /krogulczość, orłowa-
tość/

nawet odruchu

zrywania bandażu twarzy Tam w wyskanych skórkach, obrzę-
kłych połciach zbliżowaceniach kość prześwioca jak
skóra

patronie zza twarzy

pod odrutowaną żółtą żarówką
zgodna recydywa czuwania

nie śpiowaj

nie graj

nie mów

sierpień 77

z jednej strony
 renesans języka za zębami
 drobna twarz matry w dłoniach Boga
 pod skrzydłami stróża - Ciśnieniomierza
 uwierające pod powieką obce ciało
 czy nowa treść ej maluśki maluśki
 kawałek zadymionego szkieleka
 z listkami krwi syna

pamiętać:

PDPC art. VIII, IX, XII oraz
 kilka innych

na

zab mądrości głowy
 da utulonia do abstrakcyjnej ekstrakcji

a z drugiej

serpico po polsku mózdzek po polsku
 polska szkoła poezja konwulsyjna
 tresowane ubeki pokolenie siedemdziesiąt

/stobnowane jeansy koraliki maskowane bicepsy/

Szczęki Zupa z płetw rekina
 w murowanej piwnicy
 tańcowali zbójnicy
 do czasu

wrzesień 1977

ZABAWA W CHOWANECO

zabawa w dalekiego-chowanego
 za siódmą górę za las
 upuścić lusterko to raz
 i już o wodę dwa trzy szukam

~~zawieszanie zaklepuje~~

a po oficjalnym kursie
krzątanie mobilności
grzebanie przygważdżanie
drogich nam zwłok
jakby rekwirowanie cielskiego toboła
do zabawy
w ulatywanego
dalekiego chowanego

wrzesień 1977

Barbara Sadowska

W KOŚCIELU ŚWIĘTEGO MARCINA

Jadwidze - Mojej Mamie

Po raz pierwszy o projekcie głodówki zaczęło się mówić w początkach kwietnia. Miała ona być aktem solidarności z tymi uczestnikami wydarzeń czerwcowych, którzy mimo decyzji Rady Państwa nadal przebywali w więzieniu. O jednym z nich - Czesławie Chomiczku - wiadomo było, że protestując przeciwko przetrzymywaniu go w więzieniu, rozpoczął serię głodówek, co cztery dni robiąc krótką przerwę, żeby zapobiec sztuczemu odżywianiu. Na wolność wychodzili kolejni robotnicy z Radonia i Ursusa, w końcu w więzieniu pozostała tylko piątka, wśród nich głodujący systematycznie Chomiczki. W jego sprawie Komitet Obrony Robotników wysłał II kwietnia depeszę do Przewodniczącego Rady Państwa. Pozostała bez odpowiedzi. Sprawa solidarnościowej głodówki, tu na wolności, powracała coraz częściej, mówiło się o niej coraz konkretniej. Chomiczki na prośbę żony zrobił dłuższą przerwę i zapowiedział, że wznowi głodowanie, jeśli nie zostanie wypuszczony do 25 maja. 25 maja stał się więc i terminem wolnościowej głodówki.

Nie byłam zwolenniczką tego pomysłu. Może nie wierzyłam w skuteczność takiego protestu, a może wierzyłam jeszcze w skuteczność petycji i listów. Nie pamiętam. Pamiętam za to swoje argumenty przeciw: że to pomysł historyczny, gest rozpaczy, nieadekwatny do sytuacji, zbędne potęgowanie napięcia, które może tylko rozjuszyć władzę, że jeśli już, to zachować taką możliwość na sytuacje ostateczne. Nie bardzo wiedziałam, co mianowicie nazwać by należało sytuacją ostateczną. W końcu zawsze sami wyznaczamy sobie granice, poza którymi już się nie da wytrzymać, poza którymi gotowi jesteśmy postawić wszystko na jedną kartę. A sytuacja z drugiej połowy kwietnia ciągle jeszcze nie wydawała mi się tą ostatecznością, na którą chciałabym reagować protestacyjną głodówką. Nie sądziłam więc, abym miała brać w niej udział. Było w moich zastrzeżeniach również obawa przed teatral-

nością takiego protestu, był też strach przed czymś nowym, przed doświadczeniem odmiennym i nieznanym. Ten ostatni rok, rok działalności KOR-u, i tak odbieralam jako kolejne podnieszenie poprzeczki, przekraczanie kolejnych progów. Dopiero całkiem niedawno zdecydowałam się podpisywać robiony przeze mnie z Sewerynem Blumstajnem i Janem Lityńskim Biuletyn Informacyjny. Dla mnie, ta głodówka była po prostu za wysoko i za niekorzystnie.

x x x

Do więc takiego zdarzyło się w ciągu niespełna miesiąca, co zaprowadziło mnie do kościoła św. Marcjana? Co zdarzyło się obok mnie, to jasne: aresztowania członków i współpracowników KOR-u, policyjna ofensywa, zatrzymywanie, rewizje, napastliwe artykuły w prasie. Ale co zdarzyło się ze mną? Co unieważniło moje argumenty przeciw? Co przekreśliło moje obawy i opory? Zdarzyło się tylko tych dziesięć dni: od pierwszych aresztowań do 25 maja. One były moją drogą do protestacyjnej głodówki. Po prostu w ciągu tych kilku dni sytuacja stała się dla mnie wystarczająco ostateczna. Ta ostateczność okazała się zresztą bardziej wewnętrzna niż zewnętrzna. Oczywiście, to wszystko, co działo się w drugiej połowie maja, miało wpływ decydujący, tylko że nowa sytuacja zaledwie pośrednio wiązała się z konkretnymi wydarzeniami.

Te najpierwsze aresztowania: Adam Michnik, Jacek Kuron, Mirosław Chojecki, Antoni Maciareniewicz... Wszystko to do mnie nie docierało. Atmosfera była gorączkowa, choć zakatwiałam, kończyliśmy wydawać 10 numer Biuletynu, zaczęłam się przeprowadzać. Jakiś przynajmniej pozor normalnego funkcjonowania: pakuję rzeczy, przewożę je do kolejnego mieszkania, krążę wokół nowego adresu, wpadam na Plac Komuny Paryskiej do Grażyny Kuron po wiadomości. Wokoło rewizje i zatrzymania. Już sześć osób ma sankcje prokuratorskie. Coraz więcej innych znajomych ma za sobą 48 godzin w Pałacu Mostowskim. Nie się jakoś udaje. Przychodzę po rewizji, wychodzę przed rewizją. 21 maja dowiaduję się, że Seweryn Blumstajn i Jan Lityński dostali sankcję. I wpadam w poproch. Bo jeśli w tym szaleństwie jest jakaś metoda, to teraz kolej na mnie: niby dlaczego mam sobie kazać oswobodzenia, żeby zrobić kolejny numer Biuletynu? Dobra...

Ale z drugiej strony widzę, że jest. Masz solonkę, nie zamyka się przecież wszystkich. Może więc nie ci nie grozi? Niektórych wszak wypuszczają, może i mnie potrzymaliby załódwie 48 godzin? Tylko jak to sbyrować, skąd to wiodzić? Konfrontacji ze służbą bezpieczeństwa wolałabym uniknąć. Więc na wszelki wypadek nie odważam się wprowadzić do Wujców, u których miałam zamieszkać. Była u nich rewizja i przeszukano również moje - świeżo tam zawiezione - rzeczy. Wiedzą zatem, że mam tam być. Nie chcę, żeby po mnie przyszli. Nie wiem zrosztą, czy w ogóle chcą po mnie przyjść, czy mnie szukają. Ale wolę się nie meldować, chciałabym uniknąć przypadkowego czy nieprzypadkowego zatrzymania, które mogłoby się zakończyć sankcją. No po prostu bardzo się boję więzienia, już raz tam byłam i wiem dokładnie, że go nie lubię. Jak mnie mają znaleźć, to mnie znajdą, ale nie chcę im tego ułatwić. Wieczorami przychodzą pod dom, w którym mam mieszkać, ale widzę obstawę i odchodzą. Usiłuję odwiedzić przyjaciół, ale pod ich domem widzę obstawę i odchodzą. Przesztaję wpadać do Grażyny, bo tam ciągle kogoś zatrzymują. Już sama nie wiem, czy ukrywam się przed służbą bezpieczeństwa w obawie przed aresztowaniem, czy może przed dziełnicowym w obawie przed kolejnym kolegium za brak warszawskiego meldunku. Nie wiem zresztą, czy moje obawy są w ogóle uzasadnione: czy jestem przewidziana do aresztowania, czy ktoś pamięta, że ja nie mam meldunku, bo jeden mi się skończył, a drugi nie zaczął? Ale akurat na jakiś stary adres dostaję zawiadomienie, że mam się stawić przed kolegium II instancji, które - z odwołania milicji - ma mi wymierzyć karę grzywny za przebywanie w Warszawie bez meldunku. Nie stawiam się. Ale akurat ktoś przypadkowo spotkany mówi mi, że w kotle zorganizowanym na Stognach funkcjonariusze pytali o mnie. Tam też się nie stawiałam. A tu ciągle kogoś rewidują, zatrzymują. Już teraz boję się na całego. Wiem, że nie przyjdą po mnie rano, bo ja sama nie wiem, gdzie będę spała kolejnej nocy. Mogą mnie co najwyżej zgarnąć z czyjogoś domu. Więc starannie dobieram domy, w których bywam. Mają być wystarczająco bliskie tego, co się dzieje, bym mogła zanęgnąć języka, i wystarczająco dalekie, abym nie nadęła się na przykład na rewizję. I jeszcze mogą mnie po prostu zatrzymać na ulicy. Więc przygoto-

wuję sobie ~~strasznie~~ tekst na tę okoliczność ~~nazwisko~~.
zawiadomić... nazwisko... telefon... Wiedząc, że będę mu
siadła to wykrzyknąć do przechodniów i myśl o tym jest
dla mnie przykre: nie lubię publicznych przedstawień.
Tylko lepsze to niż dać się zatrzymać bez słowa, żeby
nikt nie zauważył, nie zainteresował się. Codziennie
dzwonię do Grażyny, że jestem. Matco mówię wprost, że
jeśli nie zadzwonię do niej przez dwa kolejne wieczory,
to zawiadomić Grażynę właśnie, że mnie aresztowano.
I wychodzę wieczorami na Dworzec Centralny, żeby stam-
tąd - bez obawy, że można będzie zidentyfikować niej-
zno mego noclegu - odbywać te swoje telefony.

I tak przez cały tydzień, na okrągło. Nikogo nie
zwodzi mój wisielczy humor. Rozsądni a życzliwi przy-
jaciele radzą mi wyjazd z Warszawy i nawet proponują
jakieś nęcące konkrety. Instykt samozachowawczy też
mi nakazuje wiać jak najdalej od Pałacu Morsowskich.
Żeby przeczekać gdzieś falę aresztowań. Moja obecność
w Warszawie jest i tak teoretyczna: wysiłki wokół zor-
ganizowania materiałów do kolejnego numeru Biuletynu są
założenie niewielkie, a wszystkie moje usiłowania sku-
piają się wokół tego, żeby się jakoś trzymać. Jednak
zostaje. Mimo rozdygotanej galarety w środku. Wbrew roz-
sądkowi zapewne. I nawet wygłaszam krępujące zdania, że
kada moment wszystkich wypuszczą. Chcę w to uwierzyć.
Inaczej będę musiała pogodzić się z sytuacją i czekać
aż po mnie przyjdą. Ciągłe stawiam sobie pytania: czy
to będzie kolejny marzec? Czy epilogiem działalności
KOR-u będą procesy przeciwko jego członkom i współpr-
cownikom, przeciwko redakcji Biuletynu Informacyjnego?
Jak interpretować kampanię prasową, tak żywo przypomin-
ającą marzec? Już 10 osób jest aresztowanych, czy w nich
się zakończy? Czy przyjdzie i na mnie kolej? Jak inter-
pretować policyjną ofensywę przywołującą doświadczenia
marcowe? To nie mogły być tylko moje pytania. W Biule-
tynie numer II jest lista osób zatrzymanych w drugiej
połowie maja. Obejmuje ona ponad 70 nazwisk, niektóre
z tych osób zatrzymane były dwu a nawet trzykrotnie.
Codziennie dowiadywaliśmy się zatem o co najmniej kilku
zatrzymanych. Trudno było mi znosić to spokojnie, zwła-
szcza że czułam się wobec tego wszystkiego bezradna, że
miałam poczucie daremności wszelkiego działania.

Dzisiaj w dzień na dwie przynajmniej godziny brałam się
solidnie w garść, żeby pomaszerować jak gdyby nigdy nie.

na koropotyję. Z tego żyję i nie mogę zostawić swoich uczniów samym sobie tuż przed końcem roku, przed maturą, przed egzaminami wstępnymi. Może to właśnie trzyma mnie w Warszawie, uniemożliwia ucieczkę? Wydaję mi się, że na tych łokciach się odprężam, że jestem spokojna, oparowana i rączowa. Coś tam pewno jednak mamochodem ze mną wyłazi, bo dzieci są wyjątkowo serdeczne: poją mnie herbatą, karmią kanapkami, a raz nawet dostają kwiaty.

Nie wiem, ile w tym wszystkim, o czym piszę, było przesydy, a ile realnej oceny sytuacji i własnego zagrożenia. Nie wiedziałam tego wtedy i nie wiem teraz. Ale wiem jedno: nie lubię siebie takiej spanikowanej i pełnej wewnętrznego dygotu, z tym strachem, który mnie paraliżuje i uniemożliwia wyjazd, a jednocześnie nie pozwala usiedzieć spokojnie na miejscu. Nosi mnie po mieście i do telefonu, bo chcę wiedzieć, co słychać, a że nie słychać dobrze, więc jestem w coraz większym proszku i nie mogę normalnie funkcjonować. Rzglądałam się spłoszona po ulicy, czy nie idzie za mną tajniak. Rozglądałam się przerażona pod domem znajomych, czy nie ma obstawy. To jestem jakaś inna ja, ja nie do zaakceptowania. Tu nie ma miejsca na żaden wybór, na żadną decyzję: to, że nie uciekam z Warszawy, nie jest zasługą, to że praktycznie nic nie robię, tylko zajmuję się swoim rozdygotanym wnętrzem, nie jest winą. Coś mnie trzyma w miejscu, ale byłoby za pochłobne dla mnie, gdyby nazwała to poczuciem solidarności czy obowiązku. Jakoś tam zostałam ubezwłasnowolniona i tego też nie lubię.

Tak, to już było ostateczna sytuacja. To pewnie egoizm znać za ostateczność swój własny strach, ale to właśnie bolało mnie najbardziej. Pięciu niowinnych robotników w więzieniu było mi mało. Musiały się na to nałożyć kolejne aresztowania. Nagle dostałam wyobraźni na los aresztowanych, tych w czerwcu i tych teraz, nagle własna bezsilność i przerażenie zrodziły smutną wspólnotę z ich losem, jakies takie, jeszcze zastrachano, poczucie solidarności. I już wiedziałam bardzo dokładnie, że ich wolność jest moją wolnością - gotowa byłam upominać się o tę wolność - dla siebie i dla nich - w każdy dostępny mi sposób. Bo co może jeszcze mnie spotkać gorszego niż obawa przed odwiedzeniem przyjaciół, niż obawa przed odwiedzeniem żony aresztowanego przyjaciela? Może Grażyna nawet nie zauważyła, że przestałam ja odwiedzać.

dzać, ale ten tydzień, w czasie którego nie miałam odwa-
gi przestąpić progu mieszkania Kuroniów, dał mi setnio-
wkość.

Ja się nie godzę na to, co dzieje się ze mną. Ja się
nie godzę na własną gotowość do ucieczki, do nielojal-
ności, do zdrady, do przekroczenia tego wszystkiego,
czym zajmowałam się przez ostatni rok. Ja dziękuję za
taką sytuację. Ja nim zamieram spędzić ze sobą jeszcze
ładnych parę lat i nogę się sobie nie podobam w szcze-
gółach, ale jest mi potrzebno jakiegoś minimum własnej
akceptacji. Niech więc będzie i tak: w jakimś tam ston-
drze do kościoła św. Marcina zaprowadził mnie strach: przed
rozstaniem, ale i przed sobą, która widząc zło, będzie
miała powiedzieć: przepraszam; ale mnie to nie dotyczy.

x x x

Ale to wszystko, o czym pisałam dotychczas, to tylko
jedna strona mojej decyzji. Wśród aresztowanych człon-
ków i współpracowników KOR-u byli moi bliźni i dalsi
rodzoni, byli i przyjaciele. I oczywiście, któregoś z tych
aresztowań musiało mnie zboleć najbardziej. No więc na-
tętniej subiektywniej skali najbardziej mnie wściętkło are-
sztowanie Scworyna Blumsztajna. Tak, wszyscy inni zosta-
li aresztowani równie niesprawiedliwie i bezsensownie. Ale
jego aresztowanie odbierałam wyjątkowo osobiście: jako
zbrodnię wymierzoną we mnie. On robił przecież dokład-
nie to samo, co ja, razem wydawaliśmy ten cały Biulcyn.
I on nie robił niczego, czego bym i ja nie robiła. No i ja
mam chodzący po wolności, a on siedzi i co otworzy gazę-
tę, to czytam, że rozpowszechniak, szkalował, prowokował
patrzę na jego żonę z rosnącym brzuchem i wstyd mi, że
żyje w kraju, gdzie nie można liczyć nawet na to, iż
sprawiedliwie rozdzielą kopniaki.

Tak, jest w tym coś nieracjonalnego, a nawet niepraw-
dziwego: w jakimś innym planie, ale na uwolnieniu Blumsztajna
zależy mi najbardziej. Jego wolność, to w jakimś większym
stopniu gwarancja mojej wolności. Wciąż pamiętam naszą
ostatnią rozmowę, tuż przed jego aresztowaniem. On już
wtedy wiedział, że lada moment przyjdą po niego, i po-
cieszał mnie, że pewnie pozostanę na wolności. Bo on to
narzecz, bo on to Blumsztajn. I z prasy wynikało, że nazwi-
sko jego rzeczywiście bardzo mi podoba. Czasem nawet
pisano: Blumsztajn... Ale ja jednak wierzyłam w jakąś
absurdalność, ale... wiodł... w jakąś zwirowano.

ale logikę, i byłam zdania, że podziałem ten sam los
na wolność, albo w więzieniu. Musiałam wtedy bronić
swojej wiary, bo nie ma tak dobrze, święta, jak razem
to razem, a że ani mi się śni iść za Tobą do więzie-
nia, nie na tym polegać na sprawiedliwość - więc po-
 prostu powinniśmy być razem na wolności.

Właściwie nie miałam żadnego innego wyjścia i kości-
 św. Marcina był coraz bliżej.

x x x

Skoro różni moi znajomi, z którymi rozmawiałam na
temat głodówki w kwietniu, czy początkach maja, ludzie
często popierający KOP, a nawet zaangażowani w jego dz-
iałność, uważali ten projekt za szaleństwo, skoro ja
znałam kiedyś ten pomysł za nierozsądny, to nie widzę
powodu, dla którego przeciętni obywatele, niekoniocz-
nie zaraz promineneci, czy oburzeni autorzy listów do
"Życia Warszawy" i "Trybuny Ludu", nie niechętnie myśleć
o tym podobnie, a nawet gorzej. Właściwie, piszę tu trochę
z pozycji osoby, która mogła sobie pozwolić na nieroz-
sądek, bo, nawet na szaleństwo. Mój punkt widzenia to
nie była średnia krajowa. Zamiast pracy, domu, rodzin-
nam również, zatrzymanie, aresztowanie. Z takiego miej-
sca patrzy się na wszystko inaczej, inaczej się widzi.
Rzeczywiście, mogłam sobie na więcej pozwolić: nie mia-
łam nic albo niewiele do stracenia, ot, tylko wolność,
która - moim zdaniem - i tak wisiała na włosku. Bez pr-
cy, bez mieszkania, zawieszona w próżni czy raczej przy-
parta do muru, mając przed sobą tylko mur i żadnej so-
żliwości manewru, mogłam wykonywać te swoje historyczno-
heroiczne gesty - grać va banque, głodować, uznać swoje
decyzje za jedyne rozsądne wyjście z sytuacji. Tylko,
że ja chcę bronić tego szaleństwa i nierozsądku, choć
więcej powiedzieć, że wcale nie uważam protestacyjnej
głodówki za szaleństwo i nierozsądek, choć się ma-
 przez to, bronić Boże, zamiar powiedzieć, że lubię tym
myśli, że jest to jedyne dostępny mi sposób konwersywa-
nia z władzą. Proszę bardzo, mogę swoją decyzję spro-
wadzić na ziemię, odjąć jej temperaturę, bronić jej z
pozycji rozsądku właśnie. Muszę tylko powiedzieć sobie,
skąd się wzięłam w tym miejscu własnej biografii, w sy-
tuacji, w której decyzja o przystąpieniu do głodówki
wydała mi się jedynym - nie waham się użyć tego słowa -
rozsądnym krokiem.

Ja wszak startowałam ze społecznej normy: gdzieś mieszkałam, gdzieś pracowałam i chociaż nie zachwycałam się PRL-em, nie wybierałam się bynajmniej z tego powodu na barykady. Wszystko, co ważne dla przeciętnego obywatela, było ważne i dla mnie. Mieszkanie, pieniądze, dobra materialne - mile widziane, byle nie za każdą cenę. Moja praca - lubię ją i nie chciałabym jej stracić. Kariera zawodowa - bardzo chętnie, byle nie kosztowała zbyt drogo. Mieszkałam w wynajmowanym pokoju z nadzieją, że kiedyś tam - dzięki pracy - otrzymam warszawski meldunek, że kiedyś - jak ubieram jakieś pieniądze - zapiszę się do spółdzielni, że kiedyś - jak odczekam swoje - dostanę własne mieszkanie. Pracowałam jako diennikarz w Rozgłośni Harcerskiej i nie mogła powiedzieć, żebym za cenę tej pracy nigdy nie poszła na żaden kompromis. Chodziłam. Bardzo dobrze wiedziałam, bo to przecież podstawowa edukacja w tym kraju, co wolno a czego nie wolno, nie kruszyłam kopii o sprawy beznadziejne. Staralam się tylko wybrać sobie taką grzadkę, żeby była w miarę bezpieczna: żeby nie musiała kłamać i jednocześnie, żeby mnie po prostu cieszyło to, co robię. Udało mi się to różnie: czasem miałam poczucie, że mimo wszystko robię coś fajnego i pożytecznego, innym razem miałam moralnego kaca. Ale w końcu trzeba żyć, więc byłam rozsądna i żaden kamikaze. Wiedziałałam, że w zawodzie, który uprawiam, ścieżki są kręte, no to starałam się trzymać ubitego traktu. Miałam też świadomość, że granicę między tym co uczciwe a tym co nieuczciwe przekracza się niekoniecznie przy pomocy jednorazowego a solidnego świństwa, że można się zakłamać na raty, nie wiedzieć kiedy i jak. Wpływowałam sobie przy pomocy uników i désintéressement dla spraw zahaczających o kwestie społeczno-polityczne. Tylko, że każdy ma swoje granice tolerancji na kłamstwo, krzywdę i bożprawie. Potem zaczyna się dusić. Już raz zbliżyłam się do tej granicy i kosztowało mnie to blisko rok więzienia. Tak mi dopiekił marzee, interwencja w Czechosłowacji, potem to co się działo na uczelni, że z wyładowałam w nielegalnej organizacji. Teraz tą granicą okazał się czerwiec. Nie umiem milczeć, jeśli w zasięgu mego wzroku bije się i torturuje ludzi, którym potem wymierza się okrutne wyroki przy wtórnie kłamliwych artykułów. Ale jednak oddzielałam swoją niezgodę od swojej pracy zawodowej. Wygłaszam z anteny osobista napisany

dziennik, w którym znajdują się optymistyczne i krępujące bzdury, ot: "joniokuski przylociały nad ojezy-
ste pola i niwy" i milczę o tym, że niedawno w mięsiele odległym kilkanaście czy kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy przepędzano ludzi przez szpaler milicjantów, którzy tłukli ich pałkami. Ja się nie pchałam na antenę z tymi rewelacjami, bo wiem że i tak nikt mi tego nie puści i tylko będę miała niepotrzebną krechę. I to jest mój rozsądek, bo ja chcę pracować. Tylko czy to nie absurd, że rozsądek to synonim kłamstwa, a w najlepszym razie milczenia, symbol nieuczciwości?

Moja sytuacja byłaby taka sama, gdybym pracowała gdziekolwiek indziej, na przykład w szkole, czy gdzie tam może jeszcze pracować polonistka. Zna tę sytuację z doświadczenia niemała część społeczeństwa: fałsz i zakłamanie to przecież nasz chleb powszedni. Znacznie zresztą trudniejszy od strawienia niż fakt, że nie wszystko dzieje się tak jak powinno.

Ale ja jednak udzielam sobie głosu. Bo może mamy akurat tyle wolności, na ile sobie przyzwolimy? Więcej sobie przyzwalam i włączam się - w nie tak znowu wielkim stopniu - w działalność KOK-u: przepisuję na maszynie, zbieram pieniądze, w końcu zaczynam wydawać Biuletyn Informacyjny. Nie widzę w tym niczego nierozsądnego, a nawet wierzę głęboko w sens tego, co robię. Tylko nie podpisuję Biuletynu, żeby mnie nie wylali z pracy.

Ale oto mam sygnał, że moja działalność została dostrzeżona i dostaję pierwszego karzącego kopniaka: w wynajmowanym przeze mnie mieszkaniu pojawia się dzielnicowy, już mam kolegium za niedopełnienie obowiązku meldunkowego, już nie mam gdzie mieszkać i żegnaj nadziejo na warszawski maldunek. Ja jestem jednak nadal krnąbrna: ośmielam się korespondować z władzą i podpisuję list do Sejmu w sprawie powołania Komisji Poselskiej dla zbadania przypadków nadużyć prawa. No i wyrzucają mnie za to z pracy. I już nie pracuję. Potem ten fakt odnotuje skrzętnie partyjna gazeta "Ideologia i polityka", żeby czytelnicy nie mieli wątpliwości, kto mianowicie brał udział w głodówce: niobieskie ptaszki zajmujące się politykierstwem i prowokacją. Nigdy nie uważałam tego co robią za działalność polityczną, a że w tym kraju pewno etyczne wybory i moralne decyzje zyskują wymiar polityczny, to już naprawdę nie moja

wina.

Tuż teraz mam raczywiście inną optykę. Decyduje się podpisywać Biuletyn. Oczywiście, wyrzucenie mnie z pracy nie było jedynym powodem, dla którego postanowiłem się ujawnić, ale bez tego pewnie bym się nie odważył.

Utrzymując się teraz z korepetycji, mieszkam po znajomych, tu trzy dni, bo tyle można bez rewidowania, tu dwa miesiące, bo na tyle tylko mogę się zamelać w innym miejscu. Tak sobie żyję, z nadzieją, że mam więcej wolności, bo... nie bardzo jest mię gdzie kłopot. Jest w tym nawet jakaś stabilizacja. A w połowie maja zaczyna się: śmierć Pyjasa, wydarzenia krakowskie, areztowanie...

Dzisiaj zdaje mi się, że moja droga do kościoła św. Marcina trwała blisko rok. Od pierwszego słowa niezgody, od pierwszego numeru Biuletynu, od pierwszego podpisu pod listem protestacyjnym. I w tej perspektywie mój udział w głodówce wydaje mi się czymś oczywistym i naturalnym, ot, droga, którą mógłby odbyć każdy, jedyny rozsądny krok. Mogłabym tę decyzję rozpiąć na szeregu pomniejszych wyborów. Po prostu wszystko było konsekwencją tego jednego wyjściowego "nie", które powiedziałam w czerwcu na wiadomość o wyrzuceniu z pracy i wsadzaniu do więzienia robotników. A że udział w głodówce wygląda jednak na dramatyczną decyzję? Pewnie tak pisałam wcześniej, jak we mnie dojrzała ta ostateczność, ale w gruncie rzeczy zbliżałam się do tej decyzji przez cały rok, małymi krokami, każdy następny był wynikiem poprzedniego, a żaden z nich nie był krokiem strącającym, szalonym. Jeśli się przyjmie, że nie tylko ja mam się podobać władzy, ale i władza ma się podobać mnie, jeśli się założy, że mam prawo do niezgody na usankcjonowane przez władzę bezprawie, na stosowaną przez nią przemoc, na kłamstwo w majestacie prawa - to między mówieniem prawdy, pisaniem petycji a protestacyjną głodówką nie będzie tak wielkiej przepaści. To przecież ta sama decyzja, ten sam wybór: nie szaleństwo, nie brak rozsądku, ale zmiana natężenia głosu. Po prostu to wszystko, co mówiłam od roku, pod koniec maja gotowa byłam wykrzyknąć.

Wiem, że można patrzeć na to inaczej. Ale jeśli rozsądek ma być racjonalizacją moich obaw przed utratą pracy, zgodę na nieprawość i kłamstwo, akceptacją

absurd, przyjęciem orwellowskiego dwójmyślenia za naturalny porządek świata, jeśli być rozsądnym znaczy dać się zwariować, to nie zostaje mi nic innego nad pragnienie, abym miała dość siły, abym umiała zosterzoć się w nierozsądku.

x x x

Jest 25 maja. Od dziesięciu dni miotam się bez sensu po mieście i już sama siebie nie mogę znieść. Ale przecież nie można tak długo, coé muszę zrobić, albo chociaż gdzieś zamieszkać. Wieczorem odwiedzam Wujców, żeby sprawdzić, czy mogę się do nich sprowadzić, żeby się dowiedzieć, co słychać. Zastają tylko Ludwikę, mówi mi, że już od 24 godzin w kościele św. Marcina trwa głodówka, w której bierze udział również jej mąż. Ja, przynajmniej, zupełnie zapomniałam o tym projekcie, nie przypuszczałam, że w zmiennej sytuacji jest on jeszcze aktualny. Słucham tego, co ona mówi, i już wiem, że tam iść. Kościół św. Marcina jawi mi się jako to miejsce, gdzie można zaczerpnąć oddechu, gdzie będzie można odwrnąć się od mojego prywatnego piekła, wykroczyć poza własne historie. Ja przecież wiem, że to, co dzieje się ze mną, nie jest jeszcze najgorszym wariantem, że w więzieniu są ludzie, o których wolność powinnam i chęć się upominać.

Bardzo to trudne - rozemnać się uczciwie we własnych motywacjach, ale pamiętam dokładnie, co przekreśliło w jednej chwili wszystkie moje wątpliwości co do udziału w głodówce, o ile ja jeszcze w ogóle miałam. Otóż wśród dziesiątki głodujących był pan Ozjasz Szechter. Jeśli więc coś tam się we mnie wahało w tym krótkim czasie pomiędzy "chyba" a "na pewno", to obecność pana Ozjasza przeważała.

Pana Ozjasza, ojca Adama Michnika, poznałam w grudniu zeszłego roku. Nie miałam gdzie mieszkać i on zgodził się przyjąć mnie do siebie na dwa miesiące. Jeśli można przekreślić 50 lat, dwa pokolenia różnicy, to mogę chyba powiedzieć, że się zaprzyjaźniliśmy. Bardzo mnie to poruszyło, że on, stary człowiek, który blisko dziesięć lat przesiedział w międzywojennych więzieniach zapatrzony w obraz przyszłej, sprawiedliwej, komunistycznej Polski, teraz siedzi głodować protestując przeciwko posunięciom tej władzy, o którą walczył. I jeszcze przypominałam sobie te dni, kiedy pan Ozjasz pilnował,

żebym nie wyszła do pracy bez śniadania, kiedy pukał do mojego pokoju, żeby spytać, czy nie zjem z nim kolacji, to wszystkie wspólne niedzielne obiady. Nie mogłam się pogodzić z tym, że pan Ozjasz nie będzie jeść przez tydzień. Ale co ja mogłam? Czy mogłam go prosić, żeby wrócił do domu, powiedzieć: panie Ozjaszu, pan się dość nawojował z tym niemożliwszym ze świątów, teraz kolej na nas, młodszych? Mogłam tylko zapakować pod pachę szachy, w które grywalismy wieczorami, kiedy u niego mieszkałam, i ponaszerować do kościoła św. Marcina, aby tam zagrać sobie z nim przed snem partyjkę.

Jak się teraz temu wszystkiemu przyglądam, to widzę, że nie mogło mnie nie być w kościele św. Marcina.

x x x

W moich motywacjach nie umiem oddzielić niezgody na szkołę od strachu, uczucia bezsilności od uczucia wściekłości, tego, co osobiste, od tego, co nielosowe. W mojej decyzji był i nagły gest, impuls chwili, ale była też konsekwencja i konieczność. Ani nie umiem tego wszystkiego nazwać, ani nie umiem się tym wszystkim rozeznąć. Więc zostawmy to, bo i tak już tam idę i bardzo mi się spieszy, bardzo chcę dojść. Wstaję wcześnie rano, koło siódmej, idę do zmotoryzowanego przyjaciele. On mnie obwieści po drodze, bo mam do załatwienia całą masę spraw: organizuję sobie śpawów i dmuchany materac, zbieram rozrzucone po różnych mieszkaniach swetry /podobno jak się nie je, człowiekowi jest zimno, w kościele z reguły panuje chłód, a ja jestem znieczulonym/, biorę szachy i coś do czytania. Wpadam do Haliny Mikołajskiej, od niej chcę się dowiedzieć czegoś, co - moim zdaniem - ułatwi mi dotarcie na miejsce: nazwiska księży od św. Marcina, gdzie może być ta kaplica, jak łatwiej do niej trafić, od strony kościoła czy może od klasztoru. Jestem spóźniona i boję się, że nie dotrę: nie chciałam się rozglądać, wypytywać, zwracać na siebie uwagi, chciałam wiedzieć, do kogo mam się tam zwrócić. Zapotrzązona w nazwisko księdza rektora Bronisława Dembowskiego i w informację, że do kaplicy można się dostać i przez kościół i przez klasztor - ruszam dalej. Jeszcze odwidzam kogoś, kto bardzo się ostatnio przejmował moim losem i widywał się ze mną prawie codziennie. Nie zastaję Krzysztofa w domu, więc tylko zostawiam karteczkę, żeby się nie martwił, bo idę głodować do kościoła św. Marcina.

Potem jedziemy na Centralny, skąd wykonuję liczne telefony: załatwiam zastępstwo na niektóre korepetycje, inne odwożuję, i jeszcze telefon do Łodzi, do matki, mówię o mojej decyzji, mama ma kluchę w gardle, kiedy pyta: ale, córeczko, czy ty wytrzymasz, a ja, żeby się przypadkiem nie roztkliwić nad sobą, kończę krótko: jasno, no to cześć, i odkładam słuchawkę. I już jedziemy w stronę Starego Miasta, wydaje mi się, że przy pomniku Kilińskiego widzę tajniaków, więc wysiadam dopiero na Długiej.

Przedo mną ostatni odcinek drogi. Mam plecak i dużą podróżną torbę. Podobno kościół jest obstawiony, więc się boję, że mogą mnie po drodze zatrzymać. Wiodocześnie strach musi mi towarzyszyć aż pod bramę kościoła. Samochód odjeżdża, zostaje sama, ale mam traf, spotykam znajomego księdza. Słucha spokojnie moich chaotycznych i pospiesznych wyjaśnień. Kiedy skończę, stojący z nim, do dziś nie znany mi człowiek weźmie po prostu moją torbę i doeskortuje mnie aż pod drzwi kościoła. Idziemy przez Barbakan, przez Rynek. Gdy dochodzimy do Pivnej, zdejmuję okulary i pochylam głowę, żeby nie zobaczyć milicjanta, nie wyobrazić sobie, że widzę tajniaka, żeby się nie spłoszyć, nie zatrzymać. Kurczowo trzymam za rękaw mogo towarzysza, idę jeszcze przestraszona, nie idę, z opuszczonym łbem szarżuję Pivną, już zdecydowaną, niechby no tylko ktoś próbował mnie zatrzymać, przejdę. Oto już kościół, mijam go, odbieram torbę, wchodzę do klasztoru. Siostrę furtiankę proszę o wywołanie księdza rektora. Czekam.

Mam trochę czasu, żeby ochłonąć i uspokoić się. Strach został za furta, i teraz trochę obśmiewam się ze swoich wątpliwości, ~~czy tu detra~~. Spaceruję sobie po przedsiönku, i miejsce moich rozlicznych strachów z ostatnich dni, z ostatnich godzin, zajmują inne obawy, racjonalniejsze i nie związane z tym, że już nie mam skóry, tylko gołe nerwy. No więc rozmyślam sobie, jak też zniosę tydzień zamknięcia w kilkanaście osób na małej przestrzeni. Zastanawiam się, czy krzyk, na który się zdecydowałam, nie okaże się piskiem załedwie, którego nikt nie usłyszy. Wreszcie myślę, że przykre może być nie tylko zamknięcie czy ośmieszenie, ale i głód. W końcu decyzji tej ani słowem nie skonsultowałam z moim żołądkiem, a on doskonale wie, czego chce od życia, lubi się po prostu dobrze odżywiać i ma w

po gardzie wszelkie wyższe wartości. Jest ostry i zdecydowany w upominaniu się o swoje prawa. Mam przez niego zaszarganą reputację: uchodzę za żarłoka. Poza tym jest chamem: niech no tylko poczuje jedzenie, rzuca się na nie: tak żarczywie, jakby nie jadł od lat, a niech no tylko zapomnę o porze posiłku, urzęda mi tak karczemne awantury, że muszę biec pędem do najbliższego baru, żeby mu dać coś na uspokojenie. Prawdę mówiąc terroryzuje mnie od lat i boję się teraz, że on mi wybiję z głowy głodówkę i będę musiała jak niepyszna opuścić kościół św. Marcina. Więc choć doprawdy niewiele mnie łączy z tym facetem, jestem skłonna do pertraktacji: na szczęście mam przy sobie lek na nadkwasotę, przy pomocy którego zazwyczaj udaje mi się z nim dogadać.

Tak sobie medytuję o tym, co mnie czeka, ale już nie spokojnie, kiedy przychodzi rektor kościoła. — Przyszłam przyłączyć się do głodujących — mówię. Przygląda mi się uważnie. — Czy pani to sobie przemyślała, czy pani jest rzeczywiście niepowodowana, czy to absolutnie konieczne? — pyta. Kiwam głową. — A może jednak wróci pani do domu? — Potrząsa głową. — Nie wiem, czy jeszcze panią przyjmą — mówi — pójdę zapytać. Wraca po chwili i prowadzi mnie przez ogród do zakrystii, do której wchodzi, nieogoloni i tępiorwsze, co rzuca mi się w oczy — Bohdan Cywiński i Henryk Wujec. Przez drugą zakrystię i kościół prowadzą mnie do kaplicy, w której jest tłoczno, jednych znam, lepiój, drugich wcale, ojca Aleksandra Hauke-Ligowskiego i Jerzego Ceresza widzę po raz pierwszy. Idę przede wszystkim przywitać się z panem Ozjaszem. — No, jest paną naroszcie — mówi pan Ozjasz, z którym nigdy słowa nie zamieniłam na temat mego udziału w głodówce — wszędzie się pani musi spóźnić. — I już wiem, że właśnie tutaj jest moje miejsce.

s. Dostaje do czytania oświadczenie:

My, niżej podpisani, powodowani głęboką solidarnością z uwięzionymi, apolujemy raz jeszcze o niezwłoczne zwolnienie wszystkich ofiar wypadków czerwcowych i tych, którzy stanęli w ich obronie. Wobec nieskuteczności dotychczasowych apeli i z uwagi na powagę sytuacji wystąpionie nasze łączymy z publicznym podjęciem dobro- wolnej, siedmiodniowej głodówki. Dla wierzących będzie ona Formą modlitwy, dla wszystkich nas — apelem skierowanym do społeczeństwa i władz. Świadomie wybieramy formę

głodówki, jako formę walki o prawo i sprawiedliwość, walki o godność człowieka, walki przeciw przemocy, walki bez użycia siły. /.../

Pana Tadeusza Mazowieckiego prosimy, by zechciał być naszym mężem zaufania i za jego pośrednictwem przekazujemy to oświadczenie Radzie Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Episkopatowi Polski, Komitetowi Obrony Robotników oraz opinii publicznej."

Podpisuję tekst oświadczenia jako jedenasta i zostaje.

x x x

Ktoś mi czyta rozkład dnia: wstajemy w pół do szóstej, potem poranna msza w kaplicy, od pierwszej do trzeciej możemy spacerować po ogrodzie, bo wtedy jest zamknięty kościół, i można się swobodnie poruszać, po południu wspólnie czytanie Pisma Świętego, koło dziesiątej idziemy spać.

I tak też z grubsza wyglądał nasz dzień. Śpiemy w dwóch zakryściach, według planu panowie w tej zimniejszej, od ogrodu, my w tej od strony kościoła. Spero czasu zajmujemy nam rozkładanie legowisk: nadmuchiwanie i układanie materaców, miejsca nie jest za dużo, ojciec Aleksander Hauke Ligowski i tak śpi na stole. Przewanie zakrystii słończkiem, najpierw jednej, potem drugiej. Zасыpiamy, ja śpię we wszystkich swetrach, a jest zimniej, to i w spodniach. Rano budzi nas siostra zakrystianka, ci chutko zaczyna się krzątać po zakrystii i to jest sygnał, że należy wstać: za chwilę przyjdzie tu ksiądz przygotować się do pierwszej mszy. Szybko wstajemy, trzeba wypuścić powietrze z materaców, złożyć śpiwory i koce, przenieść się do kaplicy. Podczas mszy nie wolno się kręcić. Tam można będzie jeszcze podrzęcać na ławkach. Zza ściany słychać śpiew, organy i dzwonki, przez szparę w drzwiach przeciska się dym kadzidła, wszystko to przywołuje wspomnienia z dziękczynstwa, kiedy to babcia prowadziła mnie do kościoła, więc chociaż ławka jest twarda, od wielu dni nie spałam tak dobrze, z takim poczuciem bezpieczeństwa. A potem jest nasza msza odprawiana codziennie przez ojca Aleksandra.

W piątek rano przychodzi do nas ksiądz rektor i mówi: jest trzech kolejnych amatorów, przyjechali z Katowic, Wrocławia i Poznania, przyjmujecie ich? Krótka dyskusja, czy się pomieścimy, ale przecież ludzie przyjechali z innych miast, więc właściwie nie ma dyskusji

i za chwilę idzie przez ogród Stanisław Barańczak i dwóch nieznanym mi mężczyznom. Teraz jesteście już w komplecie.

Kazimierz Świtoń i Zenon Pałka dowiedzieli się o godzinie z radia i następnego dnia pierwszym pociągami przyjechali do Warszawy. Żaden z nich nie znał nikogo z ostatnio aresztowanych. Stanisław Barańczak dowiedział się o wszystkim od kogoś, kto zadzwonił do niego ze Szwecji. A więc jednak nasz głos się rozchodzi i niepotrzebne były moje obawy.

- Dlaczego nikt mnie wcześniej nie zawiadomił? - pyta Barańczak. - Sama nie wiedziałam. - odpowiadam - zresztą nikt chyba nie miał specjalnie do tego głowy. Bardzo się cieszę z jego obecności, jest niezawodny, po poznańsku solidny i to jest tak naturalne, że po prostu przerwał pracę, wstał zza biurka, uściaskał żonę i syna i przyjechał. W starannie zapakowanej torbie ma ze sobą naukowe dzieła do czytania i książkę do tłumaczenia. Podziękuję panu Ozjaszowi moim głównym partnerem szachowym. Lubię z nim grać, bo czasem wygrywam, podczas gdy pan Ozjasz nie zostawia mi szans.

Jest więc nas już czternaście osób i to jest całkiem sporo, jak na kolejkę do mycia zębów, zwłaszcza jeśli panowie się gołą. W zakrystii mamy toaletę, jest w niej umywalka z zimną wodą. Biorzemy z niej wodę do picia. Niektórzy piją zimną, inni ciepłą, mamy tu grzałkę. Ja jako żarłok piję i jedną i drugą. Po kilku dniach, na polecenie lekarza, zaczynamy pić wodę z solą.

Rozmowy o jedzeniu są właściwie zakazane. Żeby ominąć ten zakaz Eugeniusz J. z lubością rozprawia o przyszłej diecie, rozważa, czy po powrocie będzie się najpierw odżywiać kloikami czy może sucharkami. Ktoś tam jednak wyłamuje się całkiem i opowiada o befsztyku z cebulką. - A co to jest cebulka? - pyta Bohdan Cywiński i wszyscy rechoczą radośnie.

Trochę się bałam, że po kilku dniach przebywania w tym samym miejscu z tymi samymi osobami stanowią się agresywni i kłótniwi, ale nie podobnego: jest sympatycznie, a czasem nawet wesoło, po dwóch dniach prawie wszyscy mówią sobie po imieniu, nikt nie jest zdenerwowany, wszyscy są pogodni.

Lucyna i Danuta Chomiczkie trzymają się ciągle razem. Poznałam je w marcu czy kwietniu. Już wtedy wydał mi się imponujący ich upór w walce o wolność bliskiego im

człowieka. Nie dawały się zastraszyć przez radomską wielicję, pisały pisma, wydeptywały ścieżki w urzędach. Dzięki nim wolność Chomickiego nie jest dla mnie abstrakcją, to przecież sprawa tych dwóch fajnych dziewczyn, które teraz wzięły urlop z pracy, żeby przyjechać do kościoła św. Marcina. Cieszę się, że jestem tu z nimi.

Nasz kontakt ze światem to gazety, radio, wizyty przyjaciół. Codziennie pan Mazowiecki przynosi nam komplet "Gazety" i "Fragmenty", które nas dotyczą, wrywamy sobie z rąk. Ktoś przyniósł radio i wieczorami, po zamknięciu kościoła staraliśmy się z szumów i trzasków wyłowić informacje o nas. Odbiór jest bardzo zły, ale mimo to do końca pobytu co wieczór wysłuchujemy wiadomości. Któregoś dnia siedzę z uchem w radiu, które buczy i warczy, aż nagle czknie: głodówka... Szczęsna... Biuletyn Informacyjny... I to jest moje kruche poczucie bezpieczeństwa, znak, że zostałam usłyszana. Prawie codziennie odwiedza nas kilka osób, już w kościele dowiadujemy się, że Wojciech Arkuszowski nie wrócił z przysłuchania w prokuraturze. Kościół jest obstawiony i cywilni funkcjonariusze ucharakteryzowani na wiernych uczestniczą w mszach, przed kościołem robią zdjęcia i legitymują ludzi. Grażyna Kuroń, która wybierała się nas odwiedzić, została zatrzymana na kilka godzin. A więc na zewnątrz wszystko jak było, a tutaj spokój i cisza. Uspalajam się i nawet trochę zaczynam się niecierpliwić, już nie męczy bezczynność, chciałabym stąd wyjść. Tam się coś dzieje boże mure, ktoś się zajął robotami. Biuletynu numer 11, a tutaj - drzemka, spacer, lektura, szachy... ja sobie po prostu odpoczywam po szamotaninie ostatnich dni.

Nie wszyscy jednak tak beztrudnie próżnują, jak ja. Codziennie po porannej mszy Henryk Wujec rozsiada się w kątku i rozpoczyna pisanie kolejnej wersji podania do Terenowej Komisji Odwoławczej. Właśnie kiedy brał urlop, by przyjść do kościoła św. Marcina, dostał wypowiedzenie z pracy. Henryk chce wszystko opisać dokładnie i rzetelnie, więc mu wychodzi kilka bitych stron formatu A2. Potem ten swój tekst konsultuje ze mną, a ja ciągle mówię, że to za obszernie, więc zaczyna od początku. Wujec jest w ogóle najpracowitszy: to on najczęściej składa i rozkłada materace i śpiwory, ciągle coś porządkuje. No i wytrwale pisze. Wróczy w końcu swój elaborat panu Mazowieckiemu z prośbą o wysłanie.

Pan Mazowiecki, który odwiedza nas i po kilka razy dziennie, ciągle zapisuje na karteczce różne nasze prośby: żeby kupić papierosy albo szcztoteczkę do zębów, gdzieś zadzwonić albo wysłać jakiś list. Znosi nam pozdrowienia od przyjaciół, przekazuje jakieś nasze życzenia. Jest niezastąpiony i tak naprawdę to on jedyną wygląda jakby głodował. No nie, jeszcze przychodzą nas odwiedzać, coraz chudsze, żony głodujących: Małgorzata Cywińska i Ludwika Wujec. Bo my tu mamy święty spokój, a tam - nerwy i urwanie głowy. Pan Mazowiecki jest ciągle załatwany, sprawdza, czy każdy na się gdzieś udać po głodówce, załatwia opiekę i noclegi tym spoza Warszawy, organizuje dla wszystkich samochody, które rozwieżą nas po domach, coraz to sprowadza jakiegoś lekarza, żeby nas obejrzał.

Lekarzy odwiedziło nas kilku. Każdy mierzy nam ciśnienie i udziela rad w sprawie przyszłej diety, wszyscy są zgodni, że przez kilka dni po głodówce trzeba będzie odżywiać się umiarkowanie i lekkostrawnie. Po każdej wizycie zapisujemy nasze ciśnienie, z każdym dniem jest coraz niższe i pod koniec spada niektórym do 70 na 55. Ale ja i tak czuję się świetnie. To, co się dzieje z moim żołądkiem, w niczym nie przypomina dotkliwego uczucia głodu, kiedy nie zdaje zjeść śniadania albo zbyt długo zwlekam z obiadem. Czuję tylko, że mam żołądek i to jest jak ćmienie, nie ból, zęba. A po trzech dniach mija i to. Lekarstwa używam zaledwie kilka razy. Moje dobre samopoczucie bierze się i stąd, że praktycznie rzuciłam palenie, ot, jednego papierosa, najwyżej dwa, przed snem. Ale są tacy, którzy palą przez cały czas. Na papierosa trzeba wychodzić do ogrodu, nie palimy, oczywiście, ani w kaplicy, ani w zakryściach. Czuję się tylko trochę słaba, coraz więcej śpię, pokładam się na ogrodowych ławkach i codziennie podczas mszy mówię sobie, że już jutro będę siedziała nawet podczas Podnieśsienia. Ale ponieważ wszyscy kiedy trzeba stoją, a kiedy trzeba klęczą, więc mi wstyd i do końca już nie zdobędę się na to, żeby przosiedzieć całą mszę. Kilka osób przystępuje każdego dnia do komunii, ja przypominam sobie pacierz.

To co mi najbardziej doskwiera, to wcale nie głód, ani nawet nie osłabienie. Najgorzej znoszę to, że nie mogę się porządnie umyć w ciepłej wodzie, a przecież śpię w tym samym wczynie. Bardziej marzy mi się

prysznic niż porządny posiłek.

Pomysł wspólnego, głośnego czytania nie utrzymał się. Jednego popołudnia czytaliśmy Pismo Święte, następnego - fragment jakiejś książki traktującej o zdrowotnych walorach głodówki, i to wszystko. Zajmujemy się przede wszystkim spaniem, spacerami i rozmowami.

Niewiele pamiętam z tych rozmów. W końcu odwiedziło nas tam sporo osób. Tylko pamiętam, jak ksiądz rektor opowiadał nam swoje utarczki z tajnikami. Przez pierwsze dni usiłowali na nim wymusić, aby nas wyrzucił, potem, kiedy dowiedzieli się, że mamy zamiar wyjść do kościoła i wziąć udział w publicznej niedzielnej mszy, zażądali, żeby zamknął w niedzielę kościół. Trzeba przyznać, że ksiądz rektor ma z nami krzyż pański, ale żnosi to z godnym podziwu samozaparciem. Któregoś dnia przychodzi z wiadomością, że jakaś pani przyniosła dla nas jedzenie. - To dla głodujących - powiedziała, i musiał jej tłumaczyć, że my głodujemy z własnej i nieprzymuszonej woli. Zaraz po pierwszych artykułach w prasie ksiądz Dembowski odczytał z amby oświadczenie, w którym wyjaśnił, że zgodził się na naszą obecność w kościele, ponieważ - nie dociekając powodów, dla których zdecydowaliśmy się na głodówkę - uznaje nasze prawo do tego rodzaju protestu. Oświadczenie wywieszono w przedsionku kościoła, ale po kilku godzinach, na interwencję funkcjonariuszy, zostało zdjęte.

W niedzielę po raz pierwszy uczestniczymy w ogólnej mszy. Siedzimy w bocznych stłalach, za ołtarzem. Kiedy ksiądz mówi: przokażcie sobie znak pokoju, z ławek naprzeciwko rusza ku nam kilka osób. Ściskamy sobie dłonie, a jeden pan, z rozpędu i nie bacząc na moje niesmiałe protesty - całuje mnie w rękę. W kościele widzę twarze znajomych, rozglądam się, czy nie zobaczę gdzieś mamy. Prosiłam wprawdzie pana Mazowieckiego, żeby do niej zadzwonił, że wszystko w porządku, ale może przyjechała i tak...

Po mszy wchodzimy do ogrodu. Ogród tutaj jest bardzo piękny, ciągnie się waziatko wzdłuż muru od Placu Zamkowego aż do Piekarskiej. Są tu i drzewa, i krzewy, i kwiaty, mozaiki z kamieni i roślin, ławki, a nawet maleńki staw. Z jednej strony w oknie żłobka tkwi na posterunku milicyjny fotograf, kiedy wiatr podwiewa firanki uchylonego okna, widać teleobiektyw aparatu.

To stamtąd robione jest zdjęcie, które ukaże się w "Życiu Nipossary". Z drugiej strony atakują nas zapachy klasztornej kuchni. Najchętniej okupowane są ławki pośrodku ogrodu. Któregoś dnia, kiedy siedzimy po prostu na trawie - Barbara Toruńczyk, Cywiński, Barańczak i ja - nad naszymi głowami zaczyna krążyć helikopter. Zartujemy sobie, że pewnie nas filmują i w prasie ukaże się fotomontaż zatytułowany "śniadanie na trawie". W ogrodzie wyleguje się klasztorny pies - Gun. Budzi się z rzadka, żeby z łazikiem wrzaskiem pogonić gołębie, naszą obecność zaakceptował. Na murze odgradzającym ogród od Podwala pojawiają się raz zagraniczni turyści - chłopak i dziewczyna rozmawiają po angielsku i przyglądają się nam, może zaliczyli nas do planu zwiedzania Starówki, a może znaleźli się tutaj przypadkiem? Ogród nas kusi, jest w nim fajnie, dużo cieplej niż w kaplicy, ale i tak chodzimy opatuleni w koce, a Bogusława Blajfer w kożuchu, i nie wiedzieć kiedy robi się tak, że spędzamy w nim większość dnia. Ograniczenia w użytkowaniu ogrodu związane były z tym, żeby nie zakłócać normalnego rytmu funkcjonowania kościoła i klasztoru. Ale widać nasza obecność okazała się nie tak uciążliwa, bo nikt nam nie zwraca uwagi, kiedy spacerujemy czy wylegujemy się na ławkach nie tylko w wyznaczonych godzinach. Raz tylko przychodzi do nas ksiądz rektor z prośbą, abyśmy przemieśli się wszyscy do kaplicy, ponieważ w ogrodzie pojawiają się goczotczy, podobno potrzebne są jakieś pomiary. Ale mieliśmy nie tylko takich gości, jednego z pierwszych dni do ogrodu od strony Żłobka przedostała się dwójka młodych ludzi, studentów filozofii, pytali, co mogą dla nas zrobić, widać było, że są przejęci.

Po ogrodzie krzątają się siostry, na ławkach siedzą niewidomi, czytają palcami, wygłaszają się na głos. Toczy się normalne życie klasztorne i chyba nie zawadzany nikomu. Siostry, początkowo zdezorientowane naszym wejściem do kościoła, może trochę nieufne, po dwu dniach udziechają się do nas ciepło za każdym razem gdy się mijamy. W niedzielę siostra sakrystianka rozpacza: zapomniała nas uprzedzić, że pierwsza msza jest później i możemy dłużej pospać. Już od piątku ludzie znoszą światły do kościoła i składają je pod kaplicą. Siostry przekazują...

od jakichś nieznajomych. Przychodzą pierwsze listy. Na adres kościoła i pana Mazowieckiego. List od Jana Strzeleckiego i od Ireneusza Majewskiego, anonimowy list z Tarnowa. Jest nam przyjemnie. Listy zresztą będą przychodzić jeszcze długo po naszym wyjściu.

Najwięcej kwiatów było w niedzielę. Po zamknięciu kościoła jedna z sióstr wywołuje nas z kaplicy: proszę popatrzeć, ile kwiatów, rzeczywiście, pod drzwiami kaplicy, tymi na kościół, które przez cały czas naszego pobytu były zamknięte, piętrzy się stos kwiatów. Siostry przenoszą je do zakrystii i tam już będziemy je razem rozdzielać, osobno róże, osobno goździki, osobno tuli-pany. Rozwiązujemy bukiety, układamy je w wiadra i wazon-y. Do jednego z bukietów przyczepiony jest bilet kolejowy z Radomia. Większość bukietów jest biało-czerwona. Kwiatami tymi siostry przyozdobią kościół i ołtarze.

W poniedziałek jedna z sióstr zatrzymuje mnie w ogrodzie i konspiracyjnym szeptem pyta, czy nie umyśląbym się w ciepłej wodzie. Zgadza się entuzjastycznie i siostra prowadzi mnie do klasztoru, do swojego pokoju. Dzbankami znosi ciepłą wodę i po raz pierwszy od wielu dni myję się solidnie. Kiedy suszę włosy, rozmawiamy, okazuje się, że obie kończyłyśmy Katolicki Uniwersytet Lubelski. Siostra ubolewa, że tak późno wpadła na pomysł z myciem, przecież można to było zorganizować chociaż co drugi dzień. Wracam do kaplicy cała szczęśliwa i czysta.

A mama oczywiście przyjechała. Po niedzielnej mszy, kiedy stoimy i rozmawiamy w ogrodzie, nagle widzę ją z daleka, prowadzi ją któraś siostra. Domyślałam się, że nie usiedzi w domu. Bo mama na tym polega, że jak tylko dzieje się ze mną coś niedobrego, zaraz jest obok mnie. Tak było w marcu 68 roku, kiedy chodziła ze mną na wiec, a gdy usiłowałam jej to wyperswadować, mówiła: a jak milicja zacznie was pałować, to co? Nie mogę cię samej zostawić. I przychodziła pod Bibliotekę Uniwersytecką w czasie strajku, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Tak było w 70 roku, kiedy mnie aresztowano i mamą upatrzyła sobie dom, z którego widać było spacer-nik, przychodziła tam, żeby pomachać mi ręką. Jest i teraz, wita się ze wszystkimi, a potem siadziemy sobie na ławeczce, żeby pogadać. Mama rozgląda się i mówi: bardzo tu macie ładnie, a potem przygląda mi się uważnie i stwierdza: dobrze wyglądasz. A niby dlaczego mam

śle wyglądać, skoro bardzo mi tu dobrze. Nie wiem, czy to nastrój kościoła, czy piękno ogrodu tak na mnie działa, ale już dawno nie było mi ze sobą tak fajnie. Kontemplacja nie jest tym, na co lubiłabym poświęcać zbyt wiele czasu, ale tutaj jest skupienie i powaga, a bardzo mi tego ostatnio brakowało. Kościół św. Marcina okazał się prawdziwym azylem i nie było dla mnie lepszego miejsca. Mama też to wszystko widzi i jest ze mną zadowolona. Akceptacja mamy to bardzo ważna sprawa, ona stoi twardo na ziemi i jeśli uważa, że powinna tu być, to znaczy, że ma rację i nie ma sprawy. Gadały przez kilka godzin, wreszcie mama mówi: wiesz, musisz już iść, niedługo odjeżdża autokar, przyjechałam z zakładową wycieczką zwiedzać Stare miasto. I odchodzę.

Przez ostatnie dni bardzo dużo śpiemy, pogoda się popsuła, a i ciśnienie nam spadło. Rano przenosi się materac do kaplicy i tam podsypiamy w ciągu dnia. Nie wszyscy naraz, bo nie dla wszystkich jest miejsce. Kaplica wygląda trochę jak jedno wielkie łóżkowisko. W wtorek rano pakujemy nasze rzeczy, okazują się wtedy, że została cała masa koców, jakieś spiewory, swetry. Ksiądz rektor, co prawda, już w piątek ogłosił z ambony, że mamy wystarczającą ilość ciepłych rzeczy, ale widocznie zostały przyniesione wcześniej. Zostaną w zakrystii, może zgłoszą się po nie właściciele. Ostatniego dnia zwiedzamy jeszcze podziemia kościoła. Tam w kilku małych salkach znajdziemy całą masę wmarowanych w ściany tablic: zginął w Katyniu, zginął w Starobiel-sku...

Później w bocznej kaplicy zamkniętego kościoła ojciec Hauko-Ligowski odprawi mszę dla nas i dla sióstr, wygłosi piękne kazanie. Bohdan Cywiński dziękując siostrom mówi: jesteśmy wzruszeni tak serdecznym przyjęciem, choć prawdę mówiąc z żadnego przyjęcia nie wyszliśmy tak głodni. Siestry usmiechają się. Zostało jeszcze tylko kilka godzin.

Wcale nie jestem głodna. Tylko z prawdziwą przyjemnością myślę o tym, jak po powrocie do domu umoczę w mleku paryską bułkę i będę ją żuła. A jaki to piękny widok: nasączająca mlekiem bułka.

Jeszcze mamy do napisania końcowe oświadczenie. Jest króciutkie:

"Dzisiejszego wieczora - zgodnie z zapowiedzią

zawartą w naszym poprzednim oświadczeniu - kończymy głodówkę podjętą jako akt solidarności z uwięzionymi ofiarami represji poczerwcowych oraz ich aresztowanymi obrońcami.

Dziękujemy licznym osobom, które w różny sposób okazały nam moralne poparcie i zrozumienie przyswiecejących nam celów. Wysunięty przez nas - i dotąd niestety nie spełniony - postulat uwolnienia wszystkich ofiar represji uważamy nadal za aktualny. Sens i wartość podjętej przez nas głodówki będą tym większe i trwalsze, im powszechniej społeczeństwo uświadomi sobie, że sprawa ludzi niewinnie prześladowanych jest i musi pozostać sprawą nas wszystkich."

Koło dwudziestej, po ostatniej mszy, w zakrystii zaroziło się od ludzi. Przyszedł po nas tłum przyjaciół i znajomych. Podobno pod kościołem czeka więcej. Na prośbę władz, z którymi portraktował pan Mazowiecki, wychodzimy bocznym wyjściem. Mamy za to obietnicę, że w najbliższych dniach nikt nas, uczestników głodówki, nie zostanie zatrzymany. Ktoś wyrwa mi plecak i torbę. Pod pomnikiem Kilińskiego czekają samochody, które rozwiozą nas do domów. Ja udaję się najpierw do pana Ozjasza, a potem, jeszcze tego samego wieczoru, przenoszę się do Wiktora Wołoszylskiego, gdzie spędzę kilka dni w łóżku, o kaszy i suchych bułkach. Jego syn, lekarz, będzie na mnie krzyczał za każdym razem jak spojrzę Łakomic, choćby na małą rzódkiwkę.

x . x . x

W czerwcu, kiedy Jan Józef Lipski wyzuszony został z więzienia, dowiedzieliśmy się, że po przeczytaniu w gazecie o głodówce głodował i on.

Pod koniec lipca, kiedy pętka robotników opuściła więzienie dowiedzieliśmy się, że głodował nie tylko Chomicki, ale i Zygmunt Zabrowski. Rozpoczął głodówkę 10 maja. Jedząc sztucznie i stracił 30 kilogramów. Prosto z więzienia odwieziony został karetką Pogotowia do szpitala.

Joanna Szczesna

Stefan Kisielewski

PRZECIWIW CENZURZE - LEGALNIE
/garść wspomnień/

Cenzura złamała i obrzydziła moje życie, cenzura uniemożliwiła mi wykonywanie zawodu publicysty politycznego, do którego czułem się powołany, cenzura zafałszowała, spaczyła i popsuka 90% tego, co wydrukowałem, cenzura sprawiła, że cotygodniowe felietony, jakie pi- suję w krakowskim "Tygodniku Powszechnym" od lat 32, pojawiają się okaleczone i okłamują często publiczność po moich intencjach, a sprostować tego ani nawet dać to zrozumienia nie można, cenzura bowiem operuje w ści- słej tajemnicy, konfiskując najbliższą aluzję do swych czynności. Cenzura nasza zresztą w ogóle nie jest żadną cenzurą, choć zapożyczyła swą nazwę od podobnej insty- tucji, działającej w Polsce przed wojną, a w karajach demokratycznych po dziś dzień. Tam, jeśli konfiskuje się jakiś tekst prasowy ze względów państwowo-politycz- nych, czyni się to w sposób jawny, po wydrukowaniu owe- go tekstu, motywuje się swą decyzję, podając ową moty- wację do wiadomości publicznej, wreszcie wytacza się redaktorom pisma czy wydawnictwa sprawę sądową, którego wynik wcale nie jest pewny, może on być również porażką władz odpowiedzialnych za konfiskatę. Jeśli zaś pismo nie chce się ryzykować kosztu procesu, może poddać się dobro- wolnie cenzurze prewencyjnej, wówczas to, w razie kon- fiskaty, trafiają się owe białe plamy, po których my, w naszych warunkach cenzuralnej konspiracji, możemy tylko marzyć.

Oczywiste jest, że nasza instytucja, zajmująca się kastroowaniem, przednacięciem czy usuwaniem w całości ca- łych tekstów, nieraz politycznie całkiem niewinnych, nie ma nic wspólnego z czynnościami cenzury, pod które nazwą się podszywa. Jest to zupełnie coś innego: dzia- łająca tajnie, bezprawnie i bezapelacyjnie FABRYKA FAŁ- SZYWYCH TEKSTÓW, wielka a ukryta przed publicznością mistyfikacja, mająca podwójne cele: a/ zasugerowanie czytającym, że autorzy myślą tak właśnie jak piszą; b/ przyzwyczajenie piszących, aby myśleli i formułowali swe myśli w pewien określony sposób, bo pisanie w inny sposób będzie likwidowane lub przez odpowiednie skreś- lenia zmieniane. A więc swego rodzaju działalność "wychow-

wawcza tak wobec czytających jak i piszących. Olsną się tu na usta dwa tytuły głównych h książek: "Tyśl w obiegach" Mackiewiczza i "Zniwolony umysł" Mitosza.

Tak się złożyło, że wieloletnie kontakty mojej pod-pisanego z "cenzurą" /biorę w cudzysłów, bo nazwa misty-fikatorska, jak i cała działalność/ mają od 32 lat cha-akter niejako klasyczny: pisując od wiosny roku 1945 w "Tygodniku Powszechnym", piśmie niezależnym w sensie wydawniczym od żadnej instytucji państwowej, niektem o czynienia tylko i wyłącznie z samą "cenzurą", czyli rządem Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. To zna-czy, niezależny byłem od nacisku czynników, które w innych pismach wspomagają czy wyręczają "cenzurę", tak-kich np. jak redakcja, wydawca, organizacja partyjna etc. Moje doświadczenia są więc "czyste", ich rezultat to dobre dwa tysiące tekstów zafałszowanych, okaleczan-nych, popsutych, lub /co w końcu jest wyjściem moralnie najlepszym/ skonfiskowanych w całości. Pośredni zaś rezultat całej sprawy: drukowanie za granicą, dla czy-elnika nielicznego i niewiedomego, tutaj w kraju nie-stępne. I w konsekwencji: zmarnowane życie, zmarnowa-ana praca.

Oczywisto jest, że założąc tak w pełni od wymienio-ego Urzędu, próbowałem walki z nim, walki legalnej, na terenie prawnym. Walkę tę rozpocząłem w roku 1957, gdy, zdawało się, otworzyły się dla takiej akcji możli-wości zarówno instytucjonalne, jak i ustawowe i moral-ne. Było to wszakże po twz. "Październiku", gdy rzucno hasło odnowy i zerwania z nieprawościami okresu tzw. dowcipnie "kultu jednostki", gdy wiele spraw ujawniono, a niektóre krzywdy i nieprawości rzeczywiście wyrówna-no. W dodatku zostałem wówczas /luty 1957/ postem na sejm z niezależnej katolickiej grupy "Znak", a więc legalna walka przeciw cenzurze, zwłaszcza zaś przeku-manie otaczającej tę instytucję bariery milczenia. wy-dawały się rzeczą zupełnie realną.

W szkicu niniejszym chcę właśnie przypomnieć i za-registrować fakty z tej mojej legalno-prawnej, don-kichockiej nieco walki, przypadającej na okres 1957-68. Nie będę tu rejestrował i opisywał wszystkich absurdów, samowoli, nonsensownych sprzeczności, jakimi odznacza się "kreślarstwo" -zprosyjno akcje urzędu z ulicy Mysijsj. Te sprawy zna z autopsji każdy człowiek piszący w Pol-sce; znakomicie i nader wnikliwie omówił je Stanisław

Barańczak w Nr I "Zapisu". Ja tutaj zamierzam się ograniczyć, powtarzam, do znanych mi usiłowań prawnych, datujących się od roku 1957.

Oczywiście, do czynienia z cenzurą, jako współpracownik "Tygodnika Powszechnego" i autor książek, miałem znacznie dawniej, od marca 1945, w kościach czułem jeszcze również całkowity zakaz publikacji /nie podany do wiadomości, lecz realizowany/, jaki dotknął autorów "Tygodnika" w latach 1953-56 po zamknięciu pisma. O tych bardzo dawnych czasach mówić nie zamierzam, zbyt są specjalne: czy to będzie okres "nikołajczykowski", do wyborów r. 1947, kiedy to wręcz na miejscu w krakowskiej drukarni toczyło się targi z cenzorami Wodzą i Szydłowskim, czy okres, stalinowski, kiedy "Tygodnikiem" zawiadnął bez reszty istny kat słowa, ówczesny dyrektor krakowskiego Urzędu Ignacy Próchnicki /około 1956 zmienił go Bohdan Gutkowski, potem powołany na wiceprezesa do Warszawy/, a konfiskaty represyjno-wychowawcze i karne płynęły wprost od wysokich instancji partyjnych w Warszawie /Berman, Mazur etc./. Dawno to czasy i wymagałyby specjalnych wspomnień. Tymczasem powróćmy do pełnego nadziei /czyją to ona jest matka?/ roku 1957. Czołkowymi, oficjalnie przynajmniej, postaciami cenzury są oczywiście prezesi "Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk", urzędujący w Warszawie, nigdyś na Koszykowej, obecnie na Mysiej. Od roku 1945 byli nimi kolejno, o ile pamiętam: Tadeusz Zabłudowski, Antoni Bida, Czesław Skonieski, znów Antoni Bida, Józef Siemek i Stanisław Kosicki. Pierwszych trzech, ich zastępców oraz pomocników znałem nieźle z różnych wizyt "interwencyjnych", które to wizyty przeważnie nie dawały żadnego rezultatu, obojętnie, czy prezes był poważny, zasadniczo-logiczny /Zabłudowski/, kordialny i dowcipny /Bida/ czy wreszcie hamletyczno-melancholijny /Skonieski/. Machina "cenzury" działała, bez względu na osobę prezesa, bezbłędnie, bezosobowo i poza prawem. To statucie zresztą wytknięto prezesowi Skonieskiemu wiosną 1957, na rozszerzonym posiedzeniu sejmowej Komisji Kultury i Sztuki, poświęconym budżetowi tej instytucji.

"Urząd Kontroli", w myśl obowiązującego rozdziału 10. § 10. Ustawy z dnia 5.VII.1946 /zamienionego w ustawie z dnia 11.II.1957, ale nie w części merytorycznej/, podlega bezpośrednio Prezesowi Rady Ministrów.

toteż budżet jego uchwalany winien być zasadniczo przez sejmową Komisję Spraw Wewnętrznych. Tym jednak razem, wiosną 1957, uczyniono wyjątek, przénosząc debatę na Forum Komisji Kultury, w której uczestniczyła wówczas większość z należących do sejmu 15-tu literatów-poistów, a także grupa dziennikarzy. Postąpiono tak dlatego, iż pod czas tzw. "otwily" cenzura znalazła się w centrum zainteresowania i odwilż prasowa trwająca od szeregu miesięcy, a znajdujaca swoje usporobowanie w rewelacjach tygodnika "Po prostu", miała oczywiście swe źródło w zarządzonej przez kogoś "z góry" po wypadkach październikowych procedurze rozluźnienia cenzuralnej obroczy i znalazła swój wyraz w znanej październikowej manifestacji kiedy to pracownicy warszawskiego Urzędu nieśli transparent z napisem "Rozwiązcie nas!". Tymczasem po dojściu do władzy Gomulki i nerwowego ceapoty Kliszki, oraz po wyborach do sejmu cenzura jaka się znów zaostrzała, co budziło w naiwnych sporo zdziwienia - mało kto spodziewał się, że niezadługo już, bo w październiku 1957, xx zamknięte zostanie i osamo "Po prostu" /Wywołało to, jak wiadomo, głośne i liczne demonstracje młodzieży/.

Zebranie Komisji odbyło się uroczyście, w obecności ówczesnych notabli, z samym Kliszką, ministrem Kultury Karolem Kurylukiem oraz Stefanem Żółkiewskim na czele. Referat wygłosił prezes Urzędu Czesław Skonieczki, miński, siwawy pan, zasłużony komunista i spadochrymian /członek zdaje się tzw. "grupy inicjatywnej", którego Niemcy wymordowali pod Warszawą całą rodzinę. Prezes mówił tajemniczo i cierpiaco, dawał do zrozumienia, że wykonywanie zadań cenzury to trud ciężki i przykry, lecz w Polsce niezbędny, robił aluzje do konieczności liczenia się z Rosjanami i do działalności bliżej nie nazwanych "wrogów wewnętrznych". W dyskusji atakowano go energicznie /wielu posłów-literatów, m.in. Pruszkowski, Kachajek, Iwaszkiewicz, Zawieyski, Szewczyk, Putrament etc./, wytykając m.in. absurdalne zakazy wymieniać nazwiska pisarzy emigracyjnych, nawet tak sławnych jak Gombrowicz i Miłosz, ktoś zwrócił uwagę iż w noweli Jana Józefa Szczepańskiego słowo "szuka" zamienione zostało na "płóć" widocznie, aby nie drażnić Rosjan. Przede wszystkim jednak kwestionowano ogólnikowość sformułowań prawnych, na których opiera się działalność cenzury.

Tu warto wymienić sformułowanie zadań Urzędu, zawarte w dekreście z roku 1946 i zachowane w ustawie po dziś dzień. Mianowicie artykuł 2 dekretu /potem ustawy/ mówi m. in.: "Do zadań Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk należy: 1/ Nadzór nad prasą, publikacjami i widowiskami w zakresie przewidzianym w szczegółowych przepisach prawnych; 2/ Kontrola rozpowszechniania wszelkiego rodzaju utworów za pomocą druku, obrazu i żywego słowa oraz ogłoszeń, zawiadomeń i plakatów; kontrola ta ma na celu zapobieżenie: a/ godzeniu w ustrój Państwa Polskiego, b/ uprawianiu propagandy wojennej, c/ ujawnianiu tajemnic państwowych, d/ działań na szkodę międzynarodowych stosunków Państwa Polskiego, e/ naruszaniu praw lub dobrych obyczajów, f/ wprowadzaniu w błąd opinii publicznej przez podawanie wiadomości niezgodnych z rzeczywistością. 3/ Udzielanie zezwoleń na wydawanie czasopism. 4/ Kontrola zakładów poligraficznych, zakładów wytwarzających pieczętki /stempló/, zakładów wytwarzających publikacje i ilustracje sposobem światłoczułym, oraz aparatów do powielania. 5/ Prezes Rady Ministrów określi zakres i tryb wykonywania nadzoru i kontroli, o której mowa w ustępie I". etc.

Sformułowania powyższe zachowały się po dziś dzień, niezależnie od przekształceń i nowelizacji ustawy, dokonanych w latach 1948, 1952, 1953, 1970, 1972. Każdego, kto zna szczegółowy i żarliwy styl naszych ustaw, uderzyć to musi ogólnikowość sformułowań, takich jak eufemistyczne "godzenie w ustrój Państwa Polskiego", "ujawnianie tajemnic" czy "wprowadzanie w błąd opinii". Ogólnikowość ta jest w istocie celowa, ma ona stanowić ramę dla zarządzeń wykonawczych czy "dyrektywnych", bardzo drobiazgowych, często w miarę okoliczności zmienianych, a klientowi cenzury absolutnie nieznanych, stąd dezorientacja i paradoksalne niespedzianki /nazwisko wczoraj gorąco polecane dziś jest nagle w prasie surowo zabronione/, stąd bezradność "klientów" i zupełny brak kontroli publicznej nad zmiennymi peczyńnianiami w tej dziwnej instytucji, stanowiącej istne państwo w państwie.

Wszystko to wygarnięto wówczas procesowi Skoniecznemu, który bronił się jak mógł, obiecywał poprawę i się tłumaczył do poselskich konsultacji, na końcu stwierdził melancholijnie, że to nie on wymyślił cenzurę". - No tym się cała rzecz skończyła: o debacie kulturalnej prasa nie powiedziała słowa /już na ogół w ogóle o posiedzeniach sejmowych

Komisji/, wszelkie aluzje na ten temat konfiskowano, okazało się, że jest to ostatnia tego tytu dysputa o cenzurze. Dowiem dyktator wojny Kliszko kazał odtąd przenieść dyskusję nad budżetem Urzędu do Komisji Spraw Wewnętrznych, gdzie literatów i dziennikarzy nie było. W roku 1961 zostałem jednakże członkiem tej Komisji i nastąpiły dalsze mniej już znane dyskusje o czym za chwilę.

Tymczasem cenzura zacieśniała się z tygodnia na tydzień a decyzje jej swą absurdalnością i rygoryzmem przypominać zaczęły nie żaden Październik - lecz zgoła czasy stalinowskie, zwłaszcza gdy po latach prezesem został Józef Siemski, ten sam, który w roku 1953 drakońsko przeprowadził w Krakowie likwidację "Tygodnika Powszechnego".

Próbowałem z początku drogi interwencji osobistych, które dawały czasem rezultat... osobliwy. Pamiętam, w roku 1958 zgłosiłem się do ministra łączności Jana Rąbanowskiego /Stronnictwo Demokratyczne/ z prośbą, abym mógł otrzymywać pocztą paryską "Kulturę", z którą polemizuję, więc jest mi potrzebna do celów zawodowych. Minister rozłożył ręce, wskazał na niebo i poradził abym zwrócił się do cenzury. Poszedłem więc do Skonieckiego - posłowi nie mógł odmówić przyjęcia - przedkładając mu dwie prośby: 1/ że chciałbym napisać recenzję z wydanej w Paryżu książki Andrzeja Bobkowskiego "Krytyka piórkem" 2/ że chciałbym otrzymywać, jako poseł, paryską "Kulturę". Skoniecki długo cierpiał i chrząkał, wreszcie wymruczał, że na recenzję o Bobkowskim się zgadza, natomiast "Kulturę" dostawać nie mogę, bo nie ma ona debitu. Poczem recenzję mi... skonfiskowano, zaś "Kultura" jęła przychodzić i przychodziła przez cały rok. Niezbadane są wyroki...

Ciekawy też rezultat dawały interwencyjne wizyty u szefa Biura Prasy KC Artura Starewicza, dotyczące różnych artykułów skonfiskowanych w "Tygodniku Powszechnym". Starewicz czystował kawą i ciastkami, łaskawie przedkładał przyniesione teksty, poczem w mojej obecności dzwonił do prezesa Skonieckiego, mówiąc, że on w danym temacie nie widzi nic nagannego i wnosi o puszczenie go. Skoniecki się zgadzał, obiecywał, poczem... tekst przepadał na amen, a telefon Starewicza nie odpowiadał. Tak stało się np. z monografią prasy powstanczej Warszawy, sporządzoną przez Wł. Bartoszewskiego dla miesięcznika "Znak". A były tam również omówione pisma komunistyczne, redagowane przez Kliszkę i Bienkowskiego...

Niezadługo konfiskowanie przemówień oraz interpelacji poselskich przez cenzurę w "Tygodniku" i gdzieindziej stało się już normą. Poruszyłem tę sprawę w przemówieniu na plenum Sejmu dnia 12.II.1959 /o polityce kulturalnej na tle budżetu państwa, o roli sejmu/, ale ustępy dotyczące cenzury zostały... skonfiskowane. Napisałem w tej sprawie do marszałka Sejmu Wycecha, odpisał mi, że wystarczy, iż mowy są wydrukowane w wewnętrznym sprawozdaniu stenograficznym. A zatem sejm konspiracyjny...

Tak więc należało sięgnąć do opozycji pozaparlamentarnej... przeciw cenzurze. Terenem działań stały się zjazdy Związku Literatów Polskich. Pamiętam huraganowy atak, przy puszczeniu na zniechęconą instytucję przez wielu kolegów podczas sprawozdawczego zjazdu Związku we Wrocławiu, w roku 1958. Na kolejnych Zjazdach w Warszawie 1961, Lublinie 1964 /w obecności Gomułki i Kliszki/ oraz Koszalinie 1967 dbałem o to, aby ten, najważniejszy dla ludzi pióra, mających odrobinę szacunku wobec swej pracy temat nie schodził z wokandy. Skutki doraźne były różne, rezultat ogólny przypominał słynne przemawianie dziada do obraźliwu... Jeszcze do tego zresztą wrócimy.

W roku 1961 wszedłem na następną kadencję do Sejmu i tym razem wpisałem się /zgłoszono mnie/ do Komisji Spraw Wewnętrznych. Tem właśnie uchwalano corocznie, po wysłuchaniu sprawozdań, budżet Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, podległego bezpośrednio Prezesowi Rady Ministrów. Była więc okazja do walki z dyktaturą cenzury, walki toczonej teraz w pełnym "majestacie prawa". Znalazł się bowiem oto niepodważalny instrument do toczona owej walki? uchwalony przez Sejm w roku 1960 Kodeks Postępowania Administracyjnego.

Piękny to akt, bardzo radzę przeczytać. Ustawa jest z dnia 1.VI.1960, a poza Dziennikiem Ustaw wydano ją osobno jako "Kodeks Postępowania Administracyjnego. Przepisy wykonawcze oraz wzory pism i formularzy, w opracowaniu Benedykta Bogomilskiego". Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa 1975. /Z uwzględnieniem zmian, wynikających z ustawy o Radach Narodowych. Stan prawny na dzień 1.XI.1975/.

Kodeks Postępowania Administracyjnego czyli KPA traktuje o prawach obywateli wobec instytucji państwowych i ich decyzji. A prawa te są niemałe. Organ administracji państwowej obowiązany jest każdą swą decyzją, dotyczącą obywatela, powziętą w określonym terminie, motywować prawnie i podawać ją na piśmie w sposób jawny, z wskazaniem instan-

próbował dyskutować, brań najwidoczniej Wysoką Komisję dość poważnie. Lecz tu spotkałem się z przeszkodą nie-spodziewaną a smutną: z oporom z nieżyczliwością niektórych kologów Posków.

Komisja Spraw Wewnętrznych, wbrew swej uroczystej nazwie, zajmowała się przeważnie takimi problemami, jak obrona przeciwpożarowa, sprawy lokalowe i meldunkowe, różne zarządzenia administracyjne, zmiana nazwisk etc. Dużą część członków komisji stanowili posłowie autochtoni z Warmii, Mazur i Śląska, którym w ogóle nie mieściło się w głowie, że można chcieć pisać co innego niż każą, a już problem kałeczenia i zmieniania tekstów literackich stanowił dla nich istną abrakadabrę. Posłowie ci mieli do mnie pretensje, że zajmuję czas nieużyteczną dyskusję, zamiast szybko i potulnie, jak wszyscy, głosować za budżetem cenzury. Kiedyś, gdy kwestionowałem konfiskowanie i kałeczenie przez cenzurę przemówień poselskich, poseł z Olsztyna Juliusz Malewski ostro mnie ofuknął, twierdząc, iż dobrze, że są te konfiskaty, bo przemówienia wygłasza się nie "dla sławy", lecz aby coś załatwić. W obronie mojej stanął jednak dość obiektywny przewodniczący Komisji, Antoni Korzycki.

W niezbyt więc sprzyjającej atmosferze toczyłem moją doroczną, samotną dyskusję, z przedstawicielem cenzury. Kończyła się ona równie samotnym i bezużytecznym głosowaniem przeciw budżetowi tej instytucji. Dopiero w ostatniej debacie, jesienią roku 1964 udało mi się coś /niewielkiego/ osiągnąć. Oto, odpowiadający na moje zarzuty wiceprezes Urzędu, ten właśnie znany mi z Krakowa Bohdan Gutkowski, powiedział, iż w jednym przyznaje mi rację: że działalność cenzury jest niedostatecznie podbudowana prawnie, że oni zdają sobie sprawę z tej niedoskonałości i mają zamiar jej zaradzić: przygotowując w tym celu nową Ustawę Prasową. Do oświadczenia tego przyczepiłem się jak rzep, cytując je wielokrotnie publicznie, oczywiście z powołaniem się po nazwisku na wiceprezesa Gutkowskiego. Niezadługo zresztą przestał on być wiceprezesa, być może przyczyniły się do tego moje cytaty i pochwały, czego rzecz prosta, wcale nie żałuję - przeciwnie, powinien mi być wdzięczny za uwolnienie go od mało zaszczytnego zajęcia. Tyle, że nowej "ustawy prasowej" jak nie było tak nie ma ...

Jak widać, na terenie "parlamentarnym" nie udało się już zainteresować nikogo problematyką cenzury. Za to nasiliła się działalność "pozaparlamentarna". W roku 1964 nastąpił słynny "List 34". Były to dwa zdania, napisane przez Słonimskiego, protestujące przeciw ograniczeniom przydziału papieru oraz nadużyciom cenzury. Zwięzłość tego tekstu miała jedną zaletę: oto podpisali go bez namysłu ludzie najróżniejszych ugrupowań i barwien, od Mackiewicza do Kota, którzy w żadnym innym wypadku na jedno by się nie zgodzili. List wywołał wściekłość nieocenionego Zenona Kliszki i przeróżne dalsze rerypotie, m. in. zmniejszono po raz drugi nakład "Tygodnika Powszechnego" gdyż wśród podpisujących znalazł się redaktor naczelny pisma Jerzy Turowicz.

Jedną z konsekwencji "Listu 34" było sławne przemówienie Marii Dąbrowskiej na walnym zebraniu warszawskiego oddziału Związku Literatów Polskich, do przemówienia tego przygotowałem częściowo materiały, dotyczące się działań cenzury. Wkrótce potem Igor Newerly, prezes warszawskiego oddziału Związku, powołał mnie do trzosebowej komisji /Newerly, ja i trzeci kolega, wyszło mi z pamięci kto/, mającej opracować memoriał do władz na temat pozaprawnego i częstokroć absurdalnego czy czyście represyjnego postępowania cenzury. Memoriał został opracowany i komuś przesłany - oczywiście przepadł bez skutku i niewiadomo w ogóle, co z nim się stało.

Mnie jednak ciągle przesładowały słowa wiceprezosa Cutkowskiego o konieczności przygotowania nowej ustawy prasowej /taki ze mnie miłośnik prawni - niestety miłośnik bez wzajemności/. Wobec tego, na Walnym Zebraniu warszawskiego oddziału ZLP z dnia 1967, na którym wybierano delegatów zjazdowych do Koszalina, wygłosiłem następujący wniosek:

"Walne Zebranie warszawskiego oddziału Związku Literatów Polskich zwraca się do Zarządu Głównego o zobligowanie członków Związku, będących posłami na Sejm, aby spowodowali przedstawienie Sejmowi projektu nowej ustawy, regulującej działalność Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Ustawa ta winna uwzględniać postulaty jawności i przywództwa, oraz winna być dostosowana do przepisów

Wniosek ~~z~~ pamiątkam, przeszedł przy 3 głosach wstrzymujących się, Ponowiłem go na zjeździe w Koszalinie, zastępując słowa "Walne Zebranie warszawskiego oddziału ZLP" przez "Walny Zjazd delegatów ZLP". Tutaj wniosek przeszedł po pewnej dyskusji /Patrzę, przy 7 głosach wstrzymujących się, ale również bez głosu sprzeciwu. Lecz, co ciekawe, wniosek nie znalazł się ani w protokole Zjazdu, ani na liście wniosków, przekazanych nowemu Zarządowi. Po prostu znowu przepadł zniknął, jakby go nigdy nie było. Niowatpliwie mógłby coś na ten temat powiedzieć Jarosław Iwaszkiewicz, najwybitniejszy polityk wśród pisarzy.

Mijały lata, cenzura zaostrzała się, dochodząc wręcz do absurdu, rosła liczba książek niewydanych i nienapisanych, autorów zabronionych, artykułów okalczonych najpierw przez autocenzurę, potem przez cenzurę. Na sławnym walnym zebraniu Oddziału Warszawskiego ZLP 29 lutego 1968, poświęconym zdjęciu w Teatrze Narodowym mickiewiczowskich "Dziadów", postanowiłem znów zabrać głos na ten najważniejszy dla pisarza i kultury, wciąż nurtujący mnie temat /znakomicie w tejże sprawie mówił Jacek Bocheński/. Wymieniwszy więc długą listę utworów od czasów najdawniejszych po dzień dzisiejszy: polityków, historyków, filozofów, socjologów, powieściopisarzy, którzy są dziś "niecenzuralni" i po prostu w naszym odytorstwie nie istnieją, zapytałem, jak długo trwać będzie ta "dyktatura ciemniaków" nad polską kulturą. Miałem na myśli cenzurę, lecz prasa zakrzyczała, że to chodziło o "lka robotniczą", a znów Gomulka wziął epitet "ciemniaki" do siebie. Wynikły z tego przeróżne tragicomiczne historie, które jednak do niniejszego tematu nie należą.

Od tego czasu /po 3-letniej, "karnej" przerwie w pisaniu do roku 1971/ jestem już tylko "normalnym" klientem cenzury, biernie obserwującym, jak co tydzień kaleczy mu się i przeinacza najniewinniejsze nawet teksty. Czasem rzecz się zaostrza, czasem łagodnieje - nikt nie wie dlaczego. Przestałem dopominać się "motywacji prawnej" tych czynności, nie można być maniakim, nie można walczyć o prawo wbrew samym jego twórcom. Kiedyś Tuwim wysmiewał się z legalisty, posła Stanisława Strońskiego: "Ile razy cytował Stroński konstytucję...". Nie chcę być konikiem niezamie-

rzonym, trzeba powiedzieć zwyczajnie, że cenzura działa po prostu prawem, bezprawnie, ale działa. Jest po prostu faktem dokonanym.

Dzielała odzwalniać, lecz niewidocznie. Nie widziałem tajemniczego człowieka, który z precyzją kroślił czy stronił, nie zostawiając na nich ani jednej myśli śladem czy oryginalnej. Nie ma literatury o tematyce współczesnej, nie ma historii ostatnich lat, nie ma publicystyki... W kraju nie ma wcale ludzi, którzy to wszystko sprawili. Dawniej miałem cenzorów, widziałem jak ktoś twarzą, słyszałem głosy. Dziś nie wiem już kto to robi, nie chcę wiedzieć, niepotrzebna mi ta wiedza. Nie ma to zresztą znaczenia, tu już działa mechaniczna abstrakcja, bezosobowa, bezosobowa maszyna do niszczenia tekstów. Anonimowość zresztą odpowiada im - jedyny to urząd, który nie pozwala sobie na to, chce reklamy, który nie pozwala o sobie pisać. Wstydzą się najwidoczniej swojej pracy, o której Norwid mówi o "okrotnie przez mnie przytaczanym, lecz zawsze przez cenzurę konfiskowanym dwuwiorze".

"Czy ten ptak kęsa, co je kęsa,
Czy ten, co mówi o tym, nie pozwala?"

